DZIEŁA E. ZOLI.

PISMA POMNIEJSZE.

Jak się ludzie żenią. — Jak ludzie umierają. — Typy duchowieństwa.

WARSZAWA.
Drukarnia „Przeglądu Tygodniowego."
Pasaż Miodowa-Długa № 23.

1902.

Дозволено Цензурою.
Варшава 9 Іюля 1902 г.

JAK SIĘ LUDZIE ŻENIĄ.

I.

BONGRANDOWIE.

Julian Bongrand jest synem znakomitego adwokata, słynnego mówcy na politycznych zgromadzeniach. Dziadek jego, Antoni Bongrand, był sobie spokojnym mieszczaninem z Angers i pochodził z rodziny notaryuszów, bardzo poważanej na prowincyi. Sam on nie czuł powołania do tego rodzaju zajęcia. Starszy syn jego, znakomity Bongrand, bardzo czynny i ambitny człowiek, dorobił się pięknego majątku. Co się tyczy Juliana Bongrand, to zaraził się on ambicyą ojca pyszni się ze swego położenia w świecie i pragnąłby żyć rozkosznie, po pańsku. Na nieszczęście, w trzydziestym roku życia przychodzi do przekonania, że jest miernotą. Marzył z początku o roli posła, o powodzeniach krasomówczych, o tece ministeryalnej przy pierwszem politycznem przesilen iu Lecz na zebraniach młodych adwokatów, gdzie próbował swych sił, zauważył, że jąka się w mowie, że jego myśli i słowa są

blade, co bezwarunkowo zagradza drogę do politycznej karyery. Potem wachał się przez chwilę: czy nie zwrócić się ku działalności przemysłowej? Ale specyalne zajęcia go zraziły. Przytem, pragnął pozostać w Paryżu. W końcu zdecydował się otworzyć kancelaryę rejenta. Ojciec, który niewiedział, co ma z nim robić, kupił mu za znaczną sumę najlepszą kancelaryę paryzką, w której poprzedni właściciel zarobił kilka milionów.

I tak już od pół roku Julian jest rejentem. Kancelarya jego mieści się w ciemnem mieszkaniu przy ulicy Św. Anny, sam zaś on mieszka w hotelu przy ulicy Amsterdamskiej, przepędza wieczory w świecie, zbiera obrazy, stara się jak najmniej myśleć o tem, iż jest rejentem. Znajduje przytem, że bogactwo zanadto długo daje mu na siebie czekać. Dolega mu brak zbytkownego urządzenia, brak możności dawania raz na tydzień obiadu dla znakomitych osób, chciałby przynajmniej mieć salon otwarty wieczorami dla politycznych przyjaciół swego ojca. Wmawia w siebie, że życie na wielką skalę, przyjęcia, kilka koni w stajni, jednem słowem wystawność—byłaby bardzo wygodną rzeczą i zwiększyłaby liczbę jego klientów.

— Ożeń się, powiada mu ojciec, u którego rady zasięgnął. Żona wprowadzi gwar

i blask do twego domu. Wszak o to ci chodzi, nieprawdaż? Ożeń się bogato, gdyż żona przy takich warunkach drogo kosztuje. Mój Boże! bogatych panien nie brak.

— Ot, czyż potrzeba coś lepszego jak panna Devigne, córka fabrykanta Devigne...

— Ma, zdaje się, milion posagu. To dla ciebie.

Julian się nie śpieszy. Rozpatruje on tę myśl ze wszystkich stron. Zapewne, małżeństwo podwyższy jego znaczenie w społeczeństwie, lecz jest to zagadnienie, którego niemożna rozwiązać bez namysłu. Przypatruje się więc bogatym pannom. Ojciec jego nie omylił się ze swą przenikliwością praktycznego człowieka: panna Małgorzata Devigne jest najlepszą partyą. Zbiera więc jak najdokładniejsze informacye o stanie interesów fabrykanta Devigne. Zręcznie wypytuje się o to notaryusza familii. Ojciec daje milion swej córce a może i milion dwieście tysięcy franków. Dobrze byłoby, zeby dał milion dwieście tysięcy franków— i Julian decyduje się ożenić.

W ciągu trzech miesięcy kampania odbywa się bardzo zręcznie. Znakomity Bongrand gra w niej główną rolę. Wchodzi on w układy z Devigne'm, starym swym towarzyszem ze zgromadzenia prawodawczego,

i powoli go przekonywa, żeby oddał córkę i milion dwieście tysięcy posagu.

— Podszedłem go! — mówi śmiejąc się do Juliana: teraz możesz zacząć zalecać się do córki, nie obawiając się kompromitacyi.

I Julian zaczyna zalecać się do córki. Znał on Małgorzatę, gdy jeszcze była dzieckiem. Przepędzali razem lato na wsi, niedaleko od Fontainebleau, mieszkali w odległości dziesięciu minut drogi od siebie, i spacerując z niańkami, codzień się spotykali. Małgorzata ma już dwadzieścia pięć lat. Lecz, o Boże, jakżeż wydała mu się brzydką, gdy ją drugi raz zobaczył! Zapewne, ona nigdy nie była ładną i dawniej, była czarną jak kret, lecz teraz jest prawie garbatą i ma jedne oko większe od drugiego. Nie przeszkadza to jej jednak być w towarzystwie bardzo miłą, dowcipną i nadzwyczaj wymagającą co do przymiotów przyszłego swego męża. Odmówiła już bardzo przyzwoitym konkurentom, czem się objaśnia to, że dotychczas nie wyszła za mąż, pomimo miliona posagu. Julian, rozstając się z nią po pierwszem spotkaniu, wypowiada, iż jest bardzo miłą osobą. Ubiera się zachwycająco, mówi o wszystkiem z nadzwyczajną pewnością siebie i jak się zdaje, będzie umiała odegrać rolę gospodyni salo-

nu z talentem prawdziwej paryżanki, której brzydota nadaje tylko nieco oryginalności. Przytem, panienka mająca milion dwieście tysięcy posagu, może doprawdy pozwolić sobie być brzydką.

Od tej chwili sprawa szybko posuwa się naprzód. I narzeczony i narzeczona nie są ludźmi, którzyby tracili czas na miłosne przedmowy. Oboje wiedzą doskonale, jakiego rodzaju robią ze sobą interes. Zrozumieli się od pierwszego spojrzenia. Małgorzata wychowała się na arystokratycznej pensyi; straciła matkę w siódmym roku życia, a ojciec nie mógł czuwać nad jej wychowaniem. Zostawała na pensyi do lat siedemnastu, ucząc się wszystkiego, czego bogata panienka nie może nie umieć: muzyki, tańców, ładnych manier a nawet nieco geografii, historyi i arytmetyki. Lecz głównie wychowaniem jej zajmowały się młode towarzyszki, pozbierane ze wszystkich bogatych dzielnic paryzkich. W tym malutkim świecie będącym kopiją wielkiego, pomimo zamknięcia wśród czterech ścian, Małgorzata już od czternastego roku pojęła przyjemności bogactwa, przejęła się praktycznym duchem wieku, poznała potęgę kobiet i warunki, na których opiera się nasza cywilizacya. Jeśli jakaś drobnostka w gospodarstwie wprowadza ją w kłopot, to zato umie

odrazu rozróżnić wszelkiego rodzaju koronki, mówi o modach jak doświadczona krawcowa, zna aktorki po nazwisku, zakłada się na wyścigach i wydaje sądy o koniach technicznemi wyrażeniami. Wie ona i wiele innych rzeczy, choć się z tem nie wydaje; wszak prowadziła surowe życie przez ostatnie osiem lat, od czasu jak wyszła z pensyi. Małgorzata przedstawia najnowszy typ młodej francuzki, bardzo przyzwoitej na pozór, lecz która z po za swego wachlarza, wszystkiemu się przyjrzała.

Tymczasem Julian codziennie przysyła jej bukiet za trzy luidory. Gdy ją odwiedza, jest nadzwyczaj uprzejmym. Rozmowa zwykle przechodzi na to, jak się urządzą po ślubie. Po dwóch, trzech banalnych komplimentach, narzeczony z narzeczoną zaczynają rozprawiać: o tapicerach, fabrykantach powozów i wszelkiego rodzaju liwerantach. Małgorzata zdecydowała się przyjąć oświadczenie Juliana, gdyż wydał się jej dostatecznie głupim i przytem nudno jej bardzo było przeszłej zimy w domu ojca. Pierwszą wycieczkę miłosną odbyli do hotelu przy ulicy Amsterdamskiej. Małgorzata znajduje iż hotel jest za mały; decyduje w końcu usunąć kilka przegródek i przenieść drzwi. Potem zastanawia się nad kolorem mebli, dowiaduje się jak jest położona jej przyszła

sypialnia, ogląda stajnie, z których zostaje bardzo zadowoloną. Przyjeżdża jeszcze dwa razy do hotelu, aby osobiście udzielić niektórych wskazówek architektowi. Julian jest zachwycony: znalazł żonę, jakiej mu było potrzeba.

Na tydzień przed ślubem obie rodziny są jak z nóg zbite. Znakomity Bongrand i stary Devigne już razy dziesięć radzili się z notaryuszem. Śledzą oni za najdrobniejszemi artykułami kontraktu z niedowierzaniem ludzi, którzy co do uczciwości bliźniego nie mają żadnych już illuzyi. Julian ze swej strony kłopocze się o podarunki ślubne. Małgorzata, wbrew wszelkim prawidłom przyzwoitości, poprosiła z uśmiechem rozpieszczonego dziecka, by jej wolno było samej wybrać złote ozdoby i koronki. A więc w towarzystwie jakiejś ubogiej krewnej, latają od rana do wieczora po magazynach i oceniają klejnoty. Bardzo ich to zresztą bawi. Nie spacerują oni wśród pól zielonych objąwszy się, jak zakochani u poetów, lecz uśmiechają się do siebie, siedząc przed kantorkiem jubilerów, podają sobie pierścionki i broszki palcami ochłodzonemi przez dotykanie drogich kamieni.

Wreszcie kontrakt jest podpisany. Podczas czytania powstaje ostatni spór między znakomitym Bongrand'em i Devignem. Ju-

lian wtrąca się do sporu, podczas gdy Małgorzata słucha z największem zajęciem, gotowa stanąć w obronie swych interesów, gdyby zauważyła, że im grozi najmniejsze niebezpieczeństwo. Kontrakt jest bardzo złożony. Zostawia on połowę posagu do rozporządzenia męża a drugą połowę czyni majątkiem żony, z dochodów którego będą korzystać obie strony, pod warunkiem, że suma dwunastu tysięcy franków, będzie pozostawiona żonie na potrzeby tualety. Znakomity Bongrand, twórca tego arcydzieła, zachwycony, że podszedł swego przyjaciela Devigne'a.

Do merostwa zaproszono nie więcej jak dziesięć osób. Mer — kuzyn Juliana. Przybiera on poważną minę, zabierając się do czytania kodeksu; lecz gdy tylko zamyka książkę, spiesznie przemienia się na świeckiego człowieka, prawi grzeczności damom i podaje pióro świadkom, w liczbie których znajdują się dwaj senatorowie, jeden minister i jeden generał.

Wszyscy obecni zachowują się z wielką godnością, jak gdyby obecnością swą przyczyniali się do zawarcia umowy, która pachnie milionami. Każdy z małżonków zostawia tysiąc pięćset franków dla biednych a wieczorem Devigne wydaje obiad, na który prosi świadków; tylko minister nie może

przyjechać ku wielkiemu zmartwieniu obu rodzin. Gdy Julian odjeżdża, pozwalają mu pocałować żonę w czoło.

Ślub w kościele Magdaleny. Na trzy dni przedtem Julian i ojciec jego umawiają się z duchowieństwem co do ceny. Chcieliby, ażeby ślub odbył się z największym przepychem a targowali się o każdy punkt wydatków; tyle wyznaczyli na msze, tyle za główny ołtarz, tyle za organ, tyle za dywany. Umówili się, że dywany będą pokrywać dwadzieścia stopni u głównego wchodu i dojdą do trotuaru. Postanowiono także, że organ przywita tryumfalnym marszem pojawienie się weselnego orszaku. Będzie to kosztować jeszcze pięćdziesiąt franków, lecz sprawi pożądany efekt. Rozesłano dwa tysiące zaproszeń. Kościół był już przepełniony, nim karety zbliżyły się w prawidłowym porządku; mężczyźni we frakach a kobiety w wspaniałych tualetach. Kokieterya dokazała cudu i Małgorzata prawie, że nie jest brzydką, w białym woalu i wianku z pomarańczowych kwiatów. Julian przejęty jest poczuciem swej godności, widząc, iż dla niego zebrało się tyle narodu; jest to pierwsze jego publiczne powodzenie. Tymczasem organ huczy, śpiewacy zagrzmieli jak trąby spiżowe, obrzęd trwa przeszło dwie godziny. Widowisko wspaniałe. Lecz małżonkowie,

nawet w chwili, gdy kapłan ich błogosławi, nic nie odczuwają, prócz tryumfu próżności, że z tyłu za nimi, zebrał się cały Paryż i na nich spogląda. Następnie w zakrystyi przewija się procesya bez końca: znajomi goście a nawet nieznajomi, wchodzą przez jedne drzwi a wychodzą drugiemi, uścisnąwszy ręce państwa młodych i ich krewnych. Formalność ta trwa półtory godziny. Między gośćmi dużo mężów politycznych, adwokatów, rejentów, bogatych przemysłowców, artystów i dziennikarzy. Julian z szczególną uprzejmością ściska za rękę jednego nizkiego młodego człowieka, którego zna bardzo mało, lecz który pisze do jakiejś gazetki brukowej, w której, być może, pomieści artykulik o jego weselu.

Ponieważ ani u Bongrandów, ani u Devigne'a niema tak wielkiego salonu, aby wesele mogło się odbyć w domu, przeto obiad i tańce urządzają się w Luwrskim hotelu. Jest to przyjęte u wyższej burżuazyi. Bal w wielkiej sali do tańców, udał się znakomicie. Następnie o północy kareta odwozi państwa młodych do hotelu na ulicę Amsterdamską; młoda para żartuje przez drogę, śledząc przez okna karety za postaciami kobiecemi, błądzącemi na rogach...

Już dwa lata mija jak Bongrandowie się pobrali. Nie pokłócili się, lecz całemi mie-

siącami zapominają o sobie. Gdy Julianowi przychodzi na myśl zejść się z żoną, zaleca się do niej przez tydzień; lecz najczęściej dla oszczędzenia czasu, który jest dla niego tak drogim, zwraca się do innych kobiet! Nie ogranicza się on swą kancelaryą, lecz uczestniczy w wielu towarzystwach i nawet gra na giełdzie. Aby podtrzymać swą godność, wziął sobie kochankę, której niedawno ofiarował wspaniałe brylanty. Szczęście jego życia polega na tem, aby zajmować Paryż swą osobą; małe gazetki przypisują mu kalembury a nawet jeden dziennikarz, przyjaciel jego, wydrukował historyę o brylantach, wymieniwszy tylko początkowe litery imion. Zresztą nie bije żony i nie wymyślił jeszcze sposobu, pomimo rad ojca, aby zawładnąć sześciuset tysiącami kapitału żony. Nie traci jednak nadziei, że wynajdzie jakiś sposób.

Małgorzata zaś stała się prześliczną kobietą. Młoda dziewica dotrzymała tego, co obiecała; zrobiła ona hotel na Amsterdamskiej ulicy ogniskiem zbytku i dobrego tonu. Błyszczy szaloną rozrzutnością Paryża, tualetami, które kosztowały tysiące i które niszczą się w jeden wieczór, biletami na tysiąc franków, któremi się świece zapala. Od rana do wieczora ekwipaże podjeżdżają przed pałac a w niektóre noce cały

cyrkuł słyszy do świtu muzykę, dźwięki której zlewają się ze śmiechem tańczących. Małgorzata błyszczy swą brzydotą. Potrafi się więcej podobać, niż piękne kobiety. Ona jest czemścić ponętniejszem od piękności, mówi, śmiejąc się, o sobie. Milion dwieście tysięcy jej posagu pali się jak fajerwerk. Zrójnowałaby w rok swego męża, gdyby nie była tak mądrą. Wszystkim wiadomo, iż rozporządza tylko tysiącem franków miesięcznie na swą tualetę, lecz nikt nie jest tak nietaktownym, aby się dziwić, że wydaje w miesiąc, co otrzymuje na cały rok. Julian zachwycony; żadna inna kobieta nie postawiłaby domu jego na takiej stopie, i serdecznie jest jej wdzięcznym za wszystko, co robi dla niego, aby rozszerzyć koło jego stosunków. Wobecnej chwili Małgorzata daje dowody wielkiej czułości jednemu z senatorów, który był świadkiem na jej weselu. Pozwala mu całować ramiona w ciemym kąciku i przyjmuje bilety bankowe w bonbonierkach.

II.

MEUNIEROWIE.

Luiza Boding ma już przeszło lat trzydzieści. Jest to osoba wysoka, nie piękna i nie brzydka, z twarzą płaską, pokrytą wyrzutami, skutkiem długiego panieństwa. Jej ojciec jest drobnym kupcem, który od lat dwudziestu handluje w ciemnym sklepiku i dzięki surowej oszczędności, odłożył dwadzieścia tysięcy franków. Aby dojść do tej sumy, jadał on mięso dwa razy na tydzień, nosił jedno ubranie dwa lata z rzędu, przy odpowiedniej ekonomii w opalaniu. Luiza już lat dwadzieścia przesiaduje za stołem sklepowym i spogląda jak fiakry obrzucają błotem przechodniów. Dwa razy w życiu była za miastem: pierwszy raz — w Vincennes a drugi w Saint-Dénis. Gdy staje w progu drzwi, widzi na końcu ulicy most, pod którym przepływa rzeka. Zresztą jest to bardzo rozsądna osoba, przejęta głębokim szacunkiem ku groszowemu towarowi, który sprzedaje niezamożnej ludności tej

dzielnicy. Matka oddała ją wprawdzie na niewielką pensyę w sąsiedztwie, lecz odebrała ją ztamtąd, jak tylko można było z niej zrobić pannę sklepową. Luiza umie czytać i pisać, lecz niebardzo jest mocną w ortografii; najlepiej zaś zna cztery działania arytmetyczne. Jest dostatecznie uczoną do zajmowania się handlem—oznajmia swym poważnym głosem.

Tymczasem ojciec uroczyście oświadczył, że daje córce dwa tysiące franków posagu. Obietnica ta stała się głośną w dzielnicy; wszyscy wiedzą, że panna Bodin ma dwa tysiące franków posagu a więc konkurentów nie brak było. Lecz Luiza jest przezorną; spokojnie więc powiedziała, że nie wyjdzie za mąż za hołysza. Wszak nie dlatego ludzie się żenią, żeby patrzeć na siebie i nic nie robić. Mogą być dzieci; zresztą nieźle na starość zapewnić sobie kawałek chleba. Żąda więc ona, aby narzeczony miał przynajmniej dwa tysiące franków kapitału; uczyni to wraz z jej posagiem cztery tysiące franków a to wystarczy na założenie jakiegoś sklepiku, aby uczciwie na chleb zarabiać. Lecz jeśli konkurenci z kapitałem dwóch tysięcy franków nie są rzadkością, to najczęściej marzą oni o pannie która byłaby dwa, trzy razy od nich bogatszą. Oto dlaczego Luiza zdecydowała się zostać sta-

rą panną. Odepchnęła ona hultajów, którzy zalecali się się do niej dlatego tylko, ażeby przepuścić jej posag. Zgadza się, żeby ją wzięli dla pieniędzy, ponieważ pieniądze są wszystkiem w życiu; ale życzy sobie znaleźć takiego męża, któryby szukał pieniędzy nie dla tego, aby je stracić, lecz pomnożyć przez handlowe obroty.

Nareszcie panna Bodin usłyszała o pewnym bardzo przyzwoitym poważnym młodym, człowieku, zegarmistrzu. Mieszka on razem z matką, która żyje z niewielkiej renty. Pani Meunier zebrała, dzięki cudom oszczędności, niewielką sumę, aby ułatwić małżeństwo syna. Aleksander Meunier, o rok młodszy od Luizy, jest bardzo skromnym i chętnie zostałby kawalerem. Bodinowie dowiadują się w końcu, jaką sumę pani Meunier sobie zaoszczędziła. Dochodzi ona do półtora tysiąca franków. Lecz Luiza, gdy jej o tem oznajmiają, kategorycznie odpowiada, że niema po co dalej tej sprawy prowadzić; żąda ona dwóch tysięcy franków; wszystkie jej wyliczenia na tem się opierają. Jednakże stosunki między dwiema rodzinami już się zawiązały; pani Meunier sama sobie życzy, żeby syn jej zrobił tak przyzwoitą partyę i dowiedziawszy się jakiej sumy Luiza żąda, sama obiecuje dopełnić braku w przeciągu półtora roku. Od tej pory

wszystkie trudności usunięte. Obie rodziny ściśle się zbliżają. Dzieci: Aleksander i Luiza, czekają cierpliwie, ściskając się po przyjacielsku za rękę przy spotkaniach. Każdego wieczora zbierają się obie rodziny, Aleksander zaś i Luiza spokojnie zasiadają do stołu w tylnej części sklepu, gdzie bez zakłopotania i wzruszenia, rozprawiają o sprawach dzielnicy, o szczęśliwych obrotach jednych, o złem prowadzeniu się lub niepowodzeniach innych. W ciągu półtora roku nie wymknęło im się jedno miłosne słówko. Luiza znajduje, że Aleksander jest bardzo uczciwym, lecz słabego charakteru, ponieważ raz przyznał się jej, że nie będzie miał śmiałości zażądać od towarzysza zwrotu dziesięciu franków, które mu dał przed trzema miesiącami. Aleksander objawia, że Luiza ma wrodzony talent do handlu, co w jego ustach jest wielką pochwałą.

W oznaczonym dniu, jak w terminie wekslu, pani Mcunier wykłada na stół dwa tysiące franków. Całe półtora roku nie piła ona kawy i oszczędzała na jedzeniu, światle i opale. Wesele oznaczono od tego dnia za trzy miesiące, aby dać czas narzeczonym do przygotowania się. Postanowiono, że Aleksander otworzy magazyn zegarków i najmie w tym celu owocarnię od jednej kupcowej, której interesa nieszczególnie poszły.

Wszystkie ulepszenia ograniczyły się na tem, że wybielono sufit i wyczyszczono tapety, ponieważ malarz żądał dwieście franków za kompletną restauracye sklepu. Co się tyczy towaru będzie się on składał pierwiastkowo z niektórych najprostszych złotych ozdob i kilku zegarów ściennych, przypadkiem kupionych. Aleksander zajmie się z początkiem naprawianiem zegarków w dzielnicy; później zaś, gdy imię ich pozyska sobie rozgłos i uda im się interes dobrze poprowadzić, pomyślą o otworzeniu pięknego i bogatego magazynu. Po odtrąceniu wszystkich rozchodów, gdy sklep będzie w porządku i koszta przeprowadzki opłacone, zostanie im trzy tysiące franków, z któremi można będzie czekać sposobności taniego kupna. Tego rodzaju kłopoty zabierają im czas do samego wesela.

Gdy zaczęto mówić o kontrakcie, Luiza wzruszyła ramionami a Aleksander się uśmiechnął. Kontrakt kosztuje przynajmniej dwieście franków. Będą wszystko równo dzielić, majątek ich będzie wspólnym — jest to daleko prostsze; przytem mają zamiar uczciwie z sobą postępować a więc po cóż im kontrakt? Aleksander, prócz złotego pierścionka ślubnego, dał Luizie złoty łańcuszek do zegarka i szal turecki. Wesele

myślą odbyć w restauracyi z szyldem „panier fleuri“ na przedmieściu Saint-Mandé. Przytem Bodinowie oznajmiają, że biorą na siebie koszta wesela.

Wesele odbędzie się w sobotę, żeby można było odpoczywać całą niedzielę. Siedem karet, wynajętych na cały dzień, zjechało się na wesele. Aleksander obstalował czarne spodnie i surdut. Luiza uszyła sobie sama białą suknię a jedna z ciotek podarowała jej wianek z kwiatów pomarańczowych. Wszyscy zaproszeni w liczbie dwudziestu wystroili się jak należy; damy poubierały się w jaskrawe suknie: niebieskie, zielone, żółte; mężczyźni w surdutach; jeden handlarz, który zwinął już interes, przywdział nawet frak. Najwięcej jednak zwracały uwagę przechodniów dwie przyjaciółki panny młodej, wysokie blondynki, w białych muślinowych sukienkach z szerokiemi czerwonemi wstążkami. Orszak weselny wyrusza o dziewiątej rano i udaje się do merostwa, gdzie biorący w nim udział, wtłaczają się do sali ślubnej. Mer każe na siebie czekać trzy kwadranse. Jest to otyły jegomość ze znudzoną fizyognomią. Recytuje artykuły kodeksu, bezustannie spoglądając na zegar ścienny, wiszący naprzeciwko; zapewne ma randez-vous w jakimś interesie. Pani Bodin i Meunier dużo płaczą. Państwo młodzi

wymawiają „tak“, grzecznie kłaniając się panu merowi. Podczas tego były handlarz mebli dopuszcza się żartów, które zmuszają mężczyzn do śmiechu. Aleksander i Luiza przygotowali monetę pięciofrankową, którą wrzucają do skarbonki dla biednych. Następnie goście wsiadają do karet i jadą do kościoła. W wigilią tego dnia panna Bodin i Aleksander przyjeżdżali już umówić się co do obrzędu ślubnego. Zażądali, aby ceremonia była jak najprostszą, gdyż nie mają bynajmniej zamiaru napełniać księżych kieszeni. A nawet wolnomyślny Bodin nie chciał wcale kościelnego ślubu i jeśli ustąpił, to tylko dla przyzwoitości, aby ich palcami nie wskazywano w dzielnicy. Ksiądz prędko odszeptał mszę. Obecni to podnoszą się, to znów siadają na znak zakrystyana. Tylko kobiety mają książki do modlitwy, których zresztą nie czytają. Państwo młodzi są poważni, lecz znudzeni i roztargnieni, jak gdyby myśleli o czem innem. Po wyjściu z kościoła wszyscy oddychają, jak gdyby im się lżej zrobiło na sercu. Skończone dzięki Bogu! Teraz można się będzie pośmiać. Doprawdy, w tym kościele można się było zadusić.

O drugiej po południu karety przywożą orszak do Saint-Mandé. Obiad naznaczono na szóstą godzinę. Aby jakoś czas zabić.

udają się do lasku w Vincennes i przez trzy godziny spacerują wśród drzew. Druchny biegają jak małe dziewczynki; damy szukają cienia a mężczyźni zapalają cygara. Wreszcie całe towarzystwo, zmęczone, rozsiada się na łączce i przysłuchuje trąbce z sąsiedniego fortu, świstowi przejeżdżających lokomotyw, dalekiemu gwarowi Paryża, który widnieje w oddaleniu. Czas przechodzi niepostrzeżenie. Dawno już ci sklepikarze tak się nie śmieli.

Tymczasem następuje godzina obiadowa i wszyscy wracają do restauracyi. Nakrywają do stołu w wielkim salonie, oświeconym dziesięcioma płomieniami gazowemi, zupełnie jak w kawiarni; na przeciwległych końcach stołu wspaniale wznoszą się dwa sztuczne bukiety, wyblakłe od częstego użytku. Obiad przechodzi wesoło wśród stuku widelców i noży, żartów i rozmów. Najweselszą jest chwila, gdy pewien młody człowiek, subiekt z magazynu mód, włazi pod stół, aby rozwiązać podwiązkę panny młodej, którą później współbiesiadnicy krają na części i przyczepiają do surdutów. Luiza życzyła sobie, aby ją uwolniono od tego żartu, lecz ojciec dał jej do zrozumienia, iż zepsuje tem ogólną wesołość, więc ze zwykłym rozsądkiem poddała się obyczajowi. Aleksander śmieje się głośno i bawi się całą duszą

jak człowiek, który nie często ma sposobność się bawić. A propos podwiązki sypią się dość tłuste dowcipy. Obiad kończy się wybuchami śmiechu, wyzwanemi przez dwuznaczniki. Gdy który z nich jest zbyt drastycznym, damy zakrywają twarz serwetą, żeby uśmiać się do woli.

Dziewiąta godzina wieczorem. Garsoni proszą gości przejść na chwilę do drugiego saloniku. Przez ten czas żywo zbierają ze stołu i sala jadalna zamienia się w salę do tańców. Dwoje skrzypiec, klarnet, trąbka i kontrabas rozsiadają się na estradzie. Rozpoczyna się bal. Suknie druchen i ich czerwone wstążki fruwają całą noc wśród czarnych surdutów, z jednego końca sali na drugi. W sali staje się gorąco. Damy otwierają okno, aby wpuścić świeżego powietrza. Roznoszą tace z syropem porzeczkowym. O drugiej godzinie w nocy szukają panny młodej, lecz ta znikła: wróciła do Paryża z matką i mężem. Bodin został przezstawicielem rodziny i stara się podtrzymać wesołość gości. Trzeba, aby tańce trwały aż do rana.

I żyją sobie państwo młodzi bardzo szczęśliwie. Do zupełnego szczęścia przyczynia się jeszcze i ta okoliczność, że nie mają dzieci; dzieci byłyby dla nich przeszkodą. Handel ich kwitnie, magazyn się powiększa,

wystawa zapełnia się zegarkami i złotemi ozdobami. Luiza prowadzi dom jak wzorowa gospodyni. Przepędza dzień cały za stołem sklepowym, uśmiechając się do kupujących i przedstawiając im jako najmodniejsze broszki i kolczyki starego fasonu. Wieczorem, z piórem za uchem, sprawdza rachunki i przygotowuje obstalunki. Często spędza dzień cały latając po Paryżu, aby naglić robotników, którzy u siebie w domu pracują. Całe jej życie zapełniają handlowe kłopoty. Kobieta w niej wymarła i ustąpiła miejsca czynnemu i zręcznemu subiektowi, bez płci, niezdolnemu do uniesień, którego opanowała idée fixe: usunąć się z czasem od interesów, zebrawszy siedem, osiem tysięcy franków renty, z kórej żyć będą w Surennes, malutkiej willi, w stylu szwajcarskim. I Aleksander ślepo, bezwarunkowo dowierza żonie. Sam zajmuje się tylko zegarmistrzowstwem, reparacyą kieszonkowych i ściennych zegarów. I możnaby sądzić, że cały dom ich, to jeden wielki zegar, raz na zawsze nakręcony. Nigdy się oni nie dowiedzą, czy kochali się wzajemnie, lecz wiedzą na pewno, iż są uczciwymi wspólnikami chciwymi zysków i śpią razem tylko dla tego, aby oszczędzić podwójnego wydatku na pranie prześcieradeł.

III.
PAŃSTWO DE LA ROCHE.

Hrabia Maksymilian de la Roche ma lat trzydzieści dwa. Jest on potomkiem jednej z najstarszych rodzin w Anjou. Ojciec jego był senatorem za Cesarstwa i nie odstępował, jak sam zapewina, od żadnego ze swych legitymistycznych przekonań. Przytem de la Roche nie utracili ani piędzi ziemi podczas emigracyi i są zaliczani do najbogatszych właścicieli ziemskich we Francyi. Powiadają o nich, że są równie zręczni jak bogaci. Co się tyczy Maksymiliana, ten przepędził burzliwą młodość; służył w papiezkich żuawach, poczem wrócił do Paryża, gdzie brał znaczny udział w wyścigach, grał w karty, miał kochanki, dwa pojedynki, lecz niczem się nie skompromitował. Jest to wysoki blondyn, znakomity jeździec, ograniczonego umysłu i bez silnych namiętności. Właściwie żył dotychczas jak wszyscy żyją a teraz myśli wstąpić na dyplomatyczną drogę, aby się ustatkować.

Za głowę rodu de la Roche uchodzi jedna z jego ciotek, baronowa de Bussère, energiczna staruszka, żyjąca w świecie politycznym i akademickim. Ile razy jej siostrzeniec, Maksymilian, mówi o swych planach, ona wykrzykuje, że przedewszystkiem winien się ożenić, ponieważ małżeństwo jest podstawą wszelkiej poważnej karyery. Maksymilian nic nie ma przeciw ożenieniu się. Prawda dotychczas o tem nie myślał a wreszcie chętniej pozostałby kawalerem, lecz jeśli do odegrania w świecie wybitnej roli trzeba się ożenić, to on chętnie wypełni tę formalność, jak i każdą inną. Wyznaje wszakże, śmiejąc się, iż stanowczo w nikim nie jest zakochany i znajduje bardzo trudnym wybór narzeczonej. O ile sobie przypomina, wszystkie panny, z któremi miał sposobność tańczyć, były w jednakowych białych sukniach i jednakowo skromnie się uśmiechały. Pani de Bussére w zachwycie. Niepotrzebuje on niczego szukać i łamać sobie głowy. To nie jego rzecz. Nie zna kobiet i wybrałby sobie żonę nieszczęśliwie. Ciotka więc bierze na siebie wszystkie kłopoty.

Następnego dnia baronowa mówi Maksymilianowi o pannie Henryecie de Salleneuve. Majątek znaczny, stara szlachecka familia z Normandyi, małżeństwo zupełnie odpo-

wiednie pod wszelkiemi względami. Ciotka przedstawia korzyści podobnego związku. Trudno znaleść partyę, któraby więcej odpowiadała wszystkim wymaganiom świata. Podobny związek nikogo nie zadziwi. Maksymilian z pokorą kiwa głową. W samej rzeczy, wszystko to wydaje mu się bardzo rozsądnem. Nazwiska wzajemnie są siebie warte — majątki prawie równe — stosunki bardzo cenne, zwłaszcza dla tego, kto chce wejść na drogę dyplomatyczną.

— Zdaje się, że to blondynka? — zapytuje on nareszcie.

— Nie, brunetka — odpowiada baronowa. To jest, ja sama właściwie dobrze nie wiem... Może być, że szatynka.

Zresztą, czyż to nie wszystko jedno? Nie ulega wątpliwości, że Henryeta ma lat dziewiętnaście. Maksymilian przypomina sobie iż, zdaje się, tańczył raz z nią, jeśli tylko nie z jej młodszą siostrą. Wychowania nie dotykają; jest to niepotrzebne. Wychowała ją matka, to dosyć. Co się tyczy jej charakteru, o nim nie może być mowy; nikt go nie zna. Pani de Bussère oznajmia, iż słyszała ją raz grającą walca Szopena z wielkiem uczuciem. Zepewne ma najlepsze w świecie serce. Zresztą, dziś jeszcze wieczorem nastąpi spotkanie w jakim neutralnym salonie.

Gdy wieczorem Maksymilian widzi pannę

de Salleneuve, zadziwia się nadzwyczaj, znalazłszy ją przystojną. Tańczy z nią, chwali jej wachlarz, ona dziękuje mu uśmiechem. Po dwóch tygodniach nastąpiło formalne oświadczenie i notaryusze rozważają punkta kontraktu. Maksymilian widział Henryetę pięć razy. Jest rzeczywiście wcale nieszpetną, bielutka, wysmukła i niezawodnie potrafi się ubrać, gdy zrzuci swe dziecięce suknie. Prawdopodobnie lubi bardzo muzykę, nie cierpi zapachu piżma, miała przyjaciółkę, którą zwano Klarą i która umarła. Raz nawet przyznała się wesoło, że jest nieco upartą. Oto i wszystko a Maksymilian jest przekonania, że to dosyć. Panna pochodzi z famili de Salleneuve, bierze on ją z pod opieki bardzo surowej matki, więc nie ma się nad czem namyślać. Potem będzie miał czas bliżej ją poznać. Tymczasem myśli o niej bez przykrości. Nie jest w niej zakochanym, lecz kontent iż nie brzydka. Gdyby była brzydką, takżeby wypadało mu się z nią ożenić, nie bez pewnej przykrości. Staruszki znajome baronowej, twierdzą, iż Maksymilian namiętnie w swej narzeczonej zakochany. Zgadza się on z uśmiechem i nakoniec sam w to wierzy. Namiętność nie przeszkadza mu zresztą pozostawać w ścisłych granicach przyzwoitości.

Wkrótce przed weselem młody hrabia

kończy rachunki swego kawalerskiego życia. Utrzymywał Antosię, byłą woltyżerkę z cyrku, która wróciła z Brazylii obsypana brylantami. Daje jej w prezencie nowe umeblowanie i rozstaje się z nią w przyjacielski sposób przy kolacyi, na której piją za jego małżeńskie szczęście. Spłaca długi, które się do tego czasu nazbierały, odprawia swego kamerdynera, pali niepotrzebne listy i otwiera wszystkie okna w swym hotelu, by go przewietrzyć. Potem jest gotów do ożenienia się.

Notaryusze obu rodzin ułożyli kontrakt. Cała nudna pieniężna strona sprawy była im pozostawiona. Szlachetni ich klienci ograniczyli się tylko na zrobieniu im kilku uwag w tym przedmiocie. Wielka kwestya materyalnych interesów zostaje, jakby zamaskawana, na drugim planie. Zresztą, sprawa jest bardzo prosta: majątek małżonków wiadomy, małżeństwo zawiera się na warunkach régime dotal. Podczas czytania kontraktu, obie rodziny nie wtrącają ani jednego słowa, ani jednej uwagi i z uśmiechem podają sobie pióro. Rozmowa prowadzi się o zupełnie odrębnych przedmiotach, o balu na cel dobroczynny, który baronowa ma zamiar wydać, o kazaniu jakie ojciec Montabret z takim talentem w przeszłą niedzielę wypowiedział.

Ślub cywilny odbywa się w jeden z poniedziałków, w które w merostwach zwykle nie zawierają ślubów. Lecz mer zawiadomił, iż jest zawsze gotów do usług dla tak szlachetnej pary. Panna młoda ubrana bardzo skromnie, w szarej jedwabnej sukni; pan młody w czarnym surducie i jasnych spodniach. Ani żywej duszy z obcych; tylko członkowie familii i czterej świadkowie, jako ważne figury. Podczas gdy mer czyta artykuły prawa, spojrzenia Henryety i Maksymiliana spotykają się z uśmiechem. Jakim barbarzyńskim językiem się to prawo wyraża! Czyż małżeństwo, to rzeczywiście taka straszna rzecz? Każde z nich wypowiada uroczyste „tak“ bez najmniejszego wzruszenia. Mer—malutki człowieczek prawie że garbaty a mizerna jego osoba pozbawiona prawie wszelkiej godności. Obecni objawiają powagę. Baronowa w ciemnej chustce, ogląda salę przez lornetkę i znajduje, że prawo jest bardzo ciasno ulokowane. Opuszczając kancelaryę, Maksymilian i Henryeta zostawiają po tysiąc franków dla biednych.

Cała uroczystość i wszystkie łzy zachowane do religijnej ceremonii. Żeby wesele ich nie zmieszało się z pospolitemi ślubami, wybierają małą kaplicę w kościołku Misyonarzów. Nadaje to zaraz małżeństwu deli-

katną woń nabożności. Jego Przewielebność ksiądz Felibiene, biskup jednej z południowych dyecezyj, daleki krewny familii de Salleneuve, dopełnia obrządku ślubnego. Gdy nadszedł dzień uroczysty, kościół okazuje się zbyt szczupły; wewnątrz w półświetle, przechodzącem przez zabarwione szyby, daje się słyszeć szelest drogich materyj i cichy szept głosów. Wszędzie dywany. Przed ołtarzem pięć rzędów krzeseł. Zebrała się tu cała szlachta Francyi. Jest ona jak u siebie w domu, ze swoim Bogiem. Maksymilian we fraku zrobionym bez zarzutu, wydaje się nieco blady. Zjawia się Henryeta, cała w bieli, otoczona obłokiem z koronek. Jest także wzruszona; oczy jej zaczerwienione — płakała. Gdy Jego Przewielebność Felibienne wyciąga ręce nad głowami nowożeńców, oboje schylają głowy z nabożnością, która sprawia wielkie wrażenie. Potem biskup głosem pełnym namaszczenia mówi o obowiązkach małżonków. Cała rodzina ociera łzy, zwłaszcza pani de Bussère, która była bardzo nieszczęśliwą za mężem. Następnie ceremonia kończy się wśród dymów kadzidła i blasku zapalonych świec woskowych. Nie jest to mieszczański hałaśliwy zbytek, lecz wyższy, dobry ton, wydlikatniający religię dla użytku ludzi dobrze wychowanych. Od chwili ostatniego

uścisku rąk, po podpisaniu dokumentów, kościół staje się salonem.

Miesiąc miodowy trwał wszystkiego trzy tygodnie. Przyczyna rozejścia się bardzo drażliwa. Maksymilian, który przywykł do Antosi, chciał obchodzić się z Henryetą, jak z kochanką, ona zaś zimna z natury i nieznająca dotychczas żadnych zmysłowych porywów—oparła się temu. Przytem po kilku dniach oboje się przekonali, że nigdy się z sobą nie zgodzą. Maksymilian temperamentu sangwinicznego, porywczy i uparty, Henryeta spokojnego, prawie apatycznego usposobienia, jest niemniej od niego upartą. Przytem, wzajemnie obwiniają się o zawziętość. Lecz ponieważ ludzie ich towarzystwa powinni zawsze szanować pozory, przeto obchodzą się ze sobą z wielką uprzejmością. Są względem siebie wyszukanie grzeczni, codzień rano każde z małżonków posyła dowiedzieć się o zdrowiu drugiego; co wieczór żegnają się ceremonialnym ukłonem. I chociaż tylko jeden salon rozdziela ich pokoje, są jednakże tak dalecy od siebie, jak gdyby ich dzieliły tysiące mil. Drzwi ich sypialń zamknięte na klucz.

Masymilian znów złączył się z Antosią. Zupełnie porzucił myśl wystąpienia na widownię dyplomacyi. Była to poprostu głupia idea. De la Roche nie ma potrzeby kom-

promitować się polityką w naszej demokratycznej epoce. Gdy spotyka baronowę de Bussère, śmieje się czasami z tego, że się bezpotrzebnie ożenił. Zresztą tego zbyt nie żałuje. Imię, majątek — zabezpieczone. Nie mógł zrobić lepszego wyboru. Interesa urządziły się jaknajdogodniej w świecie, tak że korzysta on z prywilejów żonatego, poważnego człowieka, choć znosi i przykrości swego położenia. Znowu interesuje się wyścigami, przepędza noce w klubie i prowadzi bez trosk życie bogatego szlachcica.

Henryecie z początku było nieco nudno, lecz potem spodobała jej się swoboda zamężnej kobiety. Kilka razy na dzień każe zaprzęgać do powozu, lata po magazynach, odwiedza przyjaciółki i często wyjeżdża. Korzysta ze wszelkich wygód położenia wdowy. Dotychczas spokojne usposobienie chroniło ją od występku. Co najwyżej pozwalała całować sobie końce palców, gdyż nie lubi mężczyzn. Lecz bywają cgwile, gdy zaczyna uważać się za gaskę. Wtedy rozważa pytanie: czy na przyszłą zimę, nie wziąść sobie kochanka? Wreszcie weźmie go sobie, gdyż wszystkie kobiety mają kochanków.

IV.

WALENTY.

Walenty jest to wysoki dwudziestopięcioletni młodzian, z rzemiosła stolarz, urodzony w samym centrze przedmieścia Saint-Antoine. Ojciec jego i dziad byli stolarzami. Wyrósł wśród wiór. Do lat dziesięciu grał w kręgle na trotuarach placu Bastylii, około kolumny lipcowej. Teraz nocuje w nędznej chałupie na ulicy La-Roquette, gdzie za dziesięć franków miesięcznie najmuje kąt pod dachem, w którym mieści się tylko łóżko i krzesło; przytem chcąc wejść do łóżka trzeba nagiąć dobrze karku, aby głową o sufit nie uderzyć. Sam się pierwszy śmieje z swej nory. Zupełnie mu wszystko jedno, że niema książęcego mieszkania. Nie przyjmuje gości, przychodzi do domu o dziesiątej wieczorem, aby zawalić się do łóżka a o piątej godzinie zimą i latem jest już na nogach. Utrzymuje, że wtedy tylko gniewa go jego mieszkanie, gdy mu się uda

zrobić jaką przyjemną znajomość, gdyż nie może się zdecydować prosić do siebie damy.

Dobry to chłopak ten nasz Walenty! Pracuje jak wół, gdyż jest jeszcze młody i wierzy w pracę, przytem nie pijak i nie szuler, jedną chyba tylko ma wadę: że za nadto jest kochliwy. Kobiety — to główny jego nałóg. Gdy z rana niedbale wodzi heblem, towarzysze śmieją się z niego i mówią, iż napewno widział się wczoraj z panną Lizą. Pochodzi to z tego, iż jedna ze znajomych Walentego nazywała się Liza, i w dnie, w których opanowywało go lenistwo, zwykł był mawiać „niech dyabli wezmą! robota nie idzie, widziałem się wczoraj z Lizą!“. W szynkach przedmieścia zwą go „pięknym stolarzem“. Ma on dużą głowę z kędzierżawemi włosami. Tańcząc, zawija rękawy od bluzy — dla większej, jak powiada dogodności a właściwie, aby pokazać swe silne ręce, które co do białości mogą iść o lepsze z kobiecemi rękami. Szczyci się też z swych zwycięstw. Zawrócił głowę najpiękniejszym dziewczynom przedmieścia: wysokiej Nanecie, malutkiej Augustynce, grubej jednookiej Adeli i nawet introligatorce Julii, o którą pojedynkowało się dwóch wojskowych. Co wieczór

zwiedza on wszystkie sale do tańca, zajrzy tu, zajrzy tam, aby tylko popatrzeć, czy nie spotka nieznanych mu ładnych dziewcząt.

Pewnego dnia wchodząc do Ogrodu Flory, sali do tańca przy ulicy Charogne, widzi on Klementynę szesnastoletnią kwiaciarkę, z zachwycającymi blond włosami, które ją otaczają w jego oczach, jak gdyby słonecznym blaskiem. Od pierwszego razu szalenie się w niej zakochuje. Cały wieczór się do niej zaleca i funduje jej wino à la française. Potem około godziny jedenastej, gdy Klementyna idzie do domu, odprowadza ją i naturalnie prosi o pozwolenie bywania u niej. Lecz ona wręcz odmawia. Powiada mu, że chętnie tańczy z mężczyznami na balu, lecz na tem koniec — i zamyka mu drzwi przed nosem. Na drugi dzień zasięga on informacyj. Klementyna miała już kochanka, który porzucił ją nie zapłaciwszy komornego za dwa kwartały. Wtedy przysięgła sobie zemścić się na pierwszym mężczyźnie, który zrobi to głupstwo, ze się w niej zakocha.

W ciągu następnych dni Walenty stara się ją złapać na ulicy i w obiadowej godzinie; gdzie może, wszędzie ją prześladuje.

— Dziś wieczorem przyjmiesz mnie, czy nie, zapytuje się śmiejąc.

Na to ona wesoło odpowiada:

— Nie, jeszcze nie, po niedzieli.

Co niedziele spotyka się z nią w Ogrodzie Flory. Siedzi ona tam koło orkiestry. Chętnie wypija wino à la française, chętnie z nim tańczy, lecz gdy tylko chce ją pocałować, daje mu szczutka a gdy rozpoczyna rozmowę o tem, jakby oni sobie słodko razem żyli, odpowiada mu z zimną krwią, iż daremnie tak nalega, gdyż ona sobie tego nie życzy i nie przypada to jej do smaku. Tak się drażnią przez sześć tygodni, nie przestając się śmiać ani na chwilę. W końcu drugiego miesiąca Walenty staje się ponurym. Nie śpi w nocy w swej norze, pod dachem; duszno mu tam. Leżąc z szeroko rozwartemi oczami widzi przed sobą główkę Klementyny, której blond włosy jaśnieją jak słońce. Wtedy zaczyna trzęść nim febra, kręci się więc do świtu, jak na rozżarzonych węglach a na drugi dzień nic nie robi w warsztacie; wzrok jego błądzi bezmyślnie, narzędzie z rąk wypada. Towarzysze krzyczą: „zapewne widziałeś się z panną Lizą.“ Niestety, nie widział się z panną Lizą i dla tego takie lenistwo go ogarnia. Trzy razy przychodził do Klementyny i na kolanach ją prosił, by go pokochała, lecz ona wciąż jedno powtarza: nie i nie a on jak głupiec płacze na ulicy. Zamierza już położyć się przed jej drzwiami

w sieni, ponieważ zdaje mu się, że będzie mu lżej, gdy usłyszy lekki jej oddech przez szparę we drzwiach. Namiętność ku temu dziewczęciu, któreby mógł łatwo zgnieść dwoma palcami, pozbawia go snu i apetytu.

Nareszcie, pewnego pięknego wieczoru, idzie do Klementyny i proponuje jej małżeństwo. Tak dłużej trwać nie może. on umrze z tęsknoty; nie może żyć bez niej. Kwiaciarkę jego oświadczenie niespodzianie zaskoczyło. Nigdy o tem nie myślała, ale prędko się zgadza. Mój Boże, ona go kocha z całego serca, lecz ileż łez przelała gdy poprzedni kochanek ją porzucił. A gdy mowa o tem, żeby się na całe życie połączyć, niema przyczyny mu odmówić.

Na drugi dzień idą razem do merostwa, zosięgnąć informacyi. Powolność procedury wprowadza ich w kłopot. Klementyna nie wie, gdzie znaleść akt śmierci ojca. Walenty biega z jednego biura policyjnego do drugiego, szukając dokumentu, świadczącego o uwolnieniu go od służby wojskowej. Widują się teraz codzień, razem się bawią, zwiedzają ogródki za miastem. Gdy wracają wieczorem wzdłuż długich ulic przedmieścia, nic do siebie nie mówią, tylko w milczeniu ściskają się za ręce. Serca ich pełne są radości, której nie są w stanie wypowiedzieć. Klementyna zaśpiewała raz

Walentemu romans, w którym była mowa o księżycu, o domie z balkonem, o jakimś jegomościu, który jej ręce całował a Walentemu romans ten tak się podobał, iż łzy stanęły mu w oczach.

Wszystkie formalności zostały wypełnione. Wesele naznaczono na przyszłą sobotę. Odbędzie się ono bez żadnej ostentacyi. Walenty chodził dowiadywać się o cenę ślubu do kościoła, lecz ponieważ ksiądz zażądał pięć franków, więc Walenty odpowiedział, iż można się bez tego obyć; Klementyna zawołała, że ślub w merostwie zupełnie jest dostateczny i księdza nie potrzeba. Z początku myśleli wcale nie urządzać wesela; lecz aby ich nie posądzono że się kryją, postanowili wyprawić piknik po pięć franków od osoby, w winiarni u Królewskich Rogatek. Zaproszono ośmnaście osób. Klementyna miała przyprowadzić z sobą trzy przyjaciółki zamężne kobiety. Walenty zawerbował cały pułk stolarzy i tokarzy z ich damami. Postanowiono zebrać się o drugiej godzinie po południu, aby można było urządzić spacer do obiadu.

Do merostwa Walenty i Klementyna przychodzą tylko ze świadkami. Walenty dał do wyczyszczenia swój surdut, Klementyna trzy noce z rzędu reparowała swą starą niebieską suknię, którą kupiła od przy-

jaciółki za dziesięć franków. Na głowie ma czepeczek z czerwonemi kwiatami. Jest tak przystojną ze swą bielutką, dziecięcą twarzyczką i puszystemi blond włosami, że mer po ojcowsku się do niej uśmiecha. Gdy przyszła na nią kolej powiedzieć „tak“, czuje, że Walenty trąca ją łokciem i pęka ze śmiechu. Wszyscy w sali się śmieją, nawet pisarze. Powiew młodości przebiega po żółtych kartach kodeksu. Gdy przychodzi podpisać się na akcie, świadkowie gryzmolą, Walenty stawia krzyż, bo nie umie pisać a Klementyna robi kleks. Do skarbonki wszyscy kładą po dwa su. Jedna tylko panna młoda, obszukawszy wszystkie kieszenie, daje nakoniec trzy su.

O drugiej godzinie całe towarzystwo zebrało się już u rogatek Królewskich w handlu win, ztamtąd idą na spacer do fortyfikacyj miasta. Potem mężczyźni urządzają w rowie grę w ślepą babkę. Gdy który ze stolarzy złapie jakąś damę, natychmiast ją szczypie a dama krzyczy, że szczypać się nie godzi, że to nie dozwolone. Całe towarzystwo pokłada się od śmiechu i tyle robi hałasu w tym cichym zakątku, że wystraszone wróble ulatują gdzieś daleko. W czasie powrotu ojcowie zmuszeni nieść na plecach po kilkoro dzieciaków, które ledwie wloką za sobą nogi. Wszyscy zresztą są

jak z nóg zbici, co im jednak wcale nie przeszkadza zdrowo pracować zębami przy obiedzie. Każdy chce zjeść za całe pięć franków. Wszak za obiad zapłacono własnemi, krwawo zapracowanemi pieniędzmi. Nie można więc robić ceremonii. To też trzeba wiedzieć, jak się tam kości obgryzują — nic nie pozostaje na talerzu. Jeden tokarz zjada takie kawały chleba, że zdumieni garsoni kładą wreszcie obok niego czterofuntowy bochenek. Po pojawieniu się tłustej gęsi na pieczyste, około stołu podnoszą się krzyki zachwytu. Walenty, którego towarzysze chcą podpoić dla zabawy, rachuje bacznie wypite już kieliszki, lecz Klementyna nieprzyzwyczajona pić wina bez wody, zaczerwieniła się jak piwonia i miele językiem jak sroka. Wszyscy są bardzo weseli; wszystko idzie jak najlepiej. Podczas deseru rozpoczynają się pieśni. Każdy śpiewa po kolei; w ciągu trzech godzin jeden kuplet następuje po drugim. Jeden śpiewa romans, gdzie jest mowa o Adryatyku, o doży i gondolach; drugi wykonywa komiczną szansonetkę i opowiada o figlach, które wino człowiekowi płata, naśladując przy końcu każdego kupletu pijanego; trzeci wreszcie śpiewa dość tłustą piosenkę, przy akompaniamencie dam, uderzających ze śmiechem nożami w szklanki. Lecz gdy

przychodzi płacić, krzyk się podnosi. Właściciel Winiarni żąda dodatkowej dopłaty, lecz nikt nie chce dać więcej nad pięć franków. Było umówione, że obiad będzie kosztował pięć franków — niema więc o czem mówić. Ponieważ właściciel handlu grozi, że zawezwie policyę, kłótnia przechodzi w bójkę i część gości przepędza noc w kozie. Na szczęście państwo młodzi mieli rozum i wynieśli się na początku sporu.

O czwartej godzinie rano Klementyna i Walenty wracają do jej pokoiku, który myślą zamieszkiwać do terminu. Przeszli pieszo całe przedmieście Saint-Antoine, nie czując chłodu, gdyż biegli prędko. Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, Walenty obejmuje Klementynę i pokrywa twarz jej niezliczonemi pocałunkami, z dziką namiętnością, która śmieszy młode dziewczę. I ona rzuca mu się później na szyję i całuję go, ile ma sił, aby mu pokazać, że go kocha. Już świta, gdy się spać kładą. Kanarek Klementyny słodko szczebioce w klatce u okna. Po nad wyblakłą kotarą u łóżka, miłość unosi się w tym ubogim pokoiku.

Walenty i Klementyna rozpoczynają życie rodzinne z kapitałem dwudziestu dwóch su. W poniedziałek idą spokojnie na robotę, każdy w swą srronę. Dnie idą za dniami, przechodzi życie. W trzydziestym

piątym roku życia, Klementyna jest już brzydką; jej blond włosy przybrały brudno-żółty odcień, troje dzieci, które sama wykarmiła, zjadły jej piękność. Kobiety prędko starzeją się od pracy w Paryżu. Walenty stał srę pijakiem, czuć od niego wódkę; piękne ręce jego zgrubiały i schudły od pracy. Kiedy wraca do domu w dniu otrzymania zarobku, pijany i z pustemi rękoma, małżonkowie rozpoczynają batalię, wśród płaczu dzieciaków. Powoli żona przywyka szukać męża po szynkach, gdzie znajduje go pijanego za stołem i siada przy nim popijając absynt wśród kłębów tytuniowego dymu. Kocha ona jednak jak dawniej swego męża i przebacza mu częste pobicia. Została się uczciwą kobiotą i nie może jej obwinić, że hula z pierwszym lepszym, jak to robią inne istoty. I wśród tego życia, zapełnionego kłótniami i nędzą, w brudnem mieszkaniu, gdzie często niema chleba i ognia, do samej śmierci tych dwojga pijaków, powoli tracących ludzką postać, zdarzają się chwilę, w których miłość zagląda przez dziurawą kotarę nad łóżkiem.

Kończę na tym przykładzie. Mówiłem już, że wszystkie małżeństwa podchodzą pod cztery powyższe typy. Starałem się tylko

nakreślić ogólne zarysy. Należałoby je uzupełnić drugorzędnemi rysami ślubów w każdej z czterech klas społecznych. Tak naprzykład u ludu, wielu rzemieślników przeżywszy siedem, osiem lat z kochanką, żeni się z nią w końcu, inni żyją na wiarę do końca życia, przyczem sąsiedzi nawet nie wiedzą, czy to małżonkowie, czy nie. Lecz szczegóły te zaprowadziłyby mnie zbyt daleko, wolę więc poprzestać na ogólnych zarysach. Nim jednak skończę, chciałbym dodać kilka koniecznych sztrychów.

We wszystkich wsiach naszych wieśniacy bardzo praktycznie stosunkują się do kwestyi małżeństwa. Mężczyźni żenią się z dziewczynami tylko wtedy, gdy ostatnie zostaną matkami. Kochankowie naznaczają sobie schadzki w polu i nieuważa się te za nic zdrożnego, póki się dziecko nie urodzi. Należy dodać, iż rzadko się zdarza, aby mężczyzna nie zgodził się ożenić z dziewczyną, która przez niego została matką. W Normandyi, Burgundyi a zwłaszcza w Pikardyi zmięte zboże na polu nic wywołuje nawet uśmiechów u przechodniów; wszyscy wiedzą, że tędy przeszła miłość. Na południu Francyi dziewczęta są mniej dowierzające. Lecz w gruncie rzeczy, włościanie nasi są względnie bardzo moralnymi. Niesnaski familijne zdarzają się niekiedy między

nimi, rzadko jednak można spotkać rozpustną kobietę w wieśniaczej rodzinie. W każdej wsi można napotkać dwie, trzy rodziny, które zeszły z drogi prawdy, podczas gdy w miastach stosunek ten jest znacznie większy. Wieśniacy są bliżsi ziemi i instynktu; dziewczęta należą do pierwszego kochanka, lecz żony dochowują mężom wiary.

W prowincyonalnych miastach spotykamy też same cztery typy małżeństwa, które już opisałem, mówiąc o ślubach w Paryżu, tylko obyczaje i ceremonie są inne w każdej prowincyi. Lecz małżeństwo z miłości trafia się wyjątkowo a przeważają małżeństwa z rozsądku i wyrachowania. Na prowincyi materyalna strona sprawy gra ogromną rolę. Znany jest tam stan majątkowy każdego mieszkańca; posagi panien są wiadome do ostatniego grosza, z drugiej strony towarzystwo zna się dobrze między sobą, młodym ludziom wiadomy jest kolor oczu u wszystkich panien. Ta z konieczności wynikająca zażyłość sprawia, iż ludzie są jeszcze ostrożniejszymi; zawierając małżeństwo, robią oni rozumie się interes, lecz przytem dojrzale obmyślają całą sprawę i ojcowie wydają swe córki za mąż z taką samą przezornością, z jaką pożyczają sto franków. Mówię tu o kwestyi pieniężnej

i kwestyi przyzwoitości, gdyż uczucie i wychowanie nie grają przytem żadnej roli. Jedna okoliczność mnie zawsze mocno uderzała a mianowicie, że rozpusta na prowincyi silniejszą jest niż w Paryżu. Niedochowanie wiary małżeńskiej, panuje tam prawie w każdem małżeństwie; skandale zdarzają sią bezustannie. Być może, że w ciszy spółczesnego życia, odgłos najbłachszej intrygi miłosnej staje się głośnym. Ja jednak jestem więcej skłonny tem to objaśnić, że im silniejszą jest hipokryzya, tem więcej cynicznym staje się występek.

Mam jednak w zapasie jeden argument przemawiający na korzyść małżeństwa i z przyjemnością go przytaczam. Literaci i artyści żenią się w naszym wieku i kontenci są z swego losu. Istnieje cała teorya przeciw małżeństwu ludzi żyjących życiem umysłowem. Nieraz już powtarzano, że żona to mogiła talentu, że płomień twórczy gaśnie w życiu rodzinnem, że prawdziwie silny człowiek powinien żyć samotnie jak Mojżesz. Wszystko to są frazesy, obalone doświadczeniem. Nie chcę przytaczać imion w tak drażliwej sprawie, lecz ileż potężnych talentów nie tylko nie straciło po ożenieniu się swych twórczych sił, lecz jak gdyby czerpało je w małżeństwie. Idzie o to, ż wielcy pracownicy pojęli, że aby uczynić

zadość olbrzymiej produkcyi, wymaganej przez naszą epokę, koniecznem jest prowadzić życie burżuazyjne, prawidłowe, konieczną jest praca systematyczna, rozdzielona podług godzin. Dalecy jesteśmy od tych szczęśliwych czasów, kiedy sądzono że dość jest roztworzyć okno poecie, by wleciało weń natchnienie i oświeciło jego głowę. Współczesny analityzm, studyowanie rzeczywistego życia, ciągła walka z tłumem, wymagają długotwałej pracy i wytężenia siły w każdej chwili. Oto dla czego tak dogodnem jest życie rodzinne. Wstawać rano i pracować wytrwale jak kramarz, lubić swe ognisko domowe i nie dopuszczać do niego bezmyślnego ulicznego szumu — oto najlepsze warunki do tworzenia arcydzieł.

Postanowiłem sobie nie robić wywodów, nie szukać jaką drogą możnaby było wzmocnić węzły małżeńskie, które widocznie, z każdym dniem się więcej rozprzęgają. Stwierdzam tylko, że w obecnej chwili, jedyna siła małżeństwa polega w konieczności istnienia pewnych form społecznych. Żenią się dla tego samego powodu, dla którego robią testamenty, t. j. aby przyprowadzić swe interesa do porządku. Serce, miłość — w dziewięciu razach na dziesięć nie gra tu żadnej roli. Ogólna rozpusta podrywa małżeństwo, podrywa je również z każ-

dym dniem wzmagający się protest przeciw tej prawnej instytucyi, łączącej życie mężczyzny i kobiety w imię wspólnych interesów. Trzymam się tylko faktów i jednocześnie z niewieloma szczęśliwymi małżeństwami, zwracam uwagę na straszną ilość przeniewierzań się małżeńskich, na rodziny żyjące w prawdziwem piekle niesnasek, cudzołóztwa, wszystkich potworności prostytucyi, która tak głęboko wstrząsa podstawami naszej cywilizacyi. Ach biedna ludzkość! ona tak dąży do spokoju, wymyśla najrozmaitsze tamy, by przeszkodzić namiętnościom zatruwać życie ludzkie i sama następnego dnia obala przegrody, które dzień przedtem wystawiła.

Dokąd dąży dziewiętnasty wiek? Czego neleży oczekiwać od dwudziestego? Być może, bóg miłości uśmiecha się, patrząc na nas i przygotowuje nam jakąś wielką jutrznię namiętności. Z początku miłość była bohaterską, potem zmysłową, w naszym wieku stała się pozytywną...

JAK LUDZIE UMIERAJĄ.

I.

MORINOWIE.

Zima była surowa. Biedny lud nie miał ani roboty, ani chleba, ani drzewa. Morin'ów gniotła nędza od października do lutego.

Żona praczka, mąż mularz. Mieszkają w Battignolles przy ulicy Cardinet, w domu zarażającym cały cyrkuł. Stancyjka ich na piątem piętrze tak zrójnowana, że deszcz przecieka przez sufit a wiatr chodzi swobodnie. Morinowie znieśliby to wszystko, gdyby nie mieli synka, Karolka, dziesięcioletniego chłopczyka, który nie może się obejść bez pożywnej strawy, jeśli ma wyrość na silnego mężczyznę. Delikatny to chłopczyk, lada głupstwo z nóg go ścina. Chodząc do szkoły zapadał na zdrowiu, ile razy zbyt gorliwie zabierał się do nauki, bo chciał się wszystkiego odrazu nauczyć. Jest to przytem sprytny, dzielny malec, który rozumuje jak dojrzały człowiek.

Mularzowi i praczce serce pęka, gdy go

nie mogą nakarmić, jak należy. Sami już nauczyli swe żołądki kurczyć się, gdy niema ich czem zapełnić, lecz żołądek dziecka za delikatny, aby się mógł skurczać w miarę potrzeby. A do tego dzieci w tym domu umierają jak muchy, tak niezdrowe są w nim mieszkania.

Luty wypadł w tym roku śnieżny. Na ulicy rozbijają lód i stary Morin więc znalazł sobie robotę; oczyszcza zamarzłe kałuże, za co wieczorem przynosi do domu czterdzieści su. Dopóki nie zaczną się budowy, wystarcza to, żeby z głodu nie umrzeć. Lecz razu pewnego Morin, wróciwszy do domu, znajduje Karolka w łóżku. Matka nie rozumie, co się z nim stało. Posłała go do Courcelles, do ciotki, handlującej starą odzieżą czy nie znajdzie się tam dla niego jakaś ciepła okrywka; całą już zimę chodzi w płóciennej kurtce. Ciotka miała tylko stare paltory dla dorosłych; malec wrócił drżąc cały, z bezmyślnem wejrzeniem, jak pijany. Teraz leży czerwony jak rak na pościeli, co chwila bredzi, zdaje mu się, że gra w kręgle i śpiewa pieśni.

W pokoju ciemno, bo Morinowa powiesiła kawałek chustki przed oknem, ażeby zasłonić rozbite szyby. Tylko przez pozostałe dwie odkryte górne przedastaje się brudne światło. Nędza wypróżniła komodę — bie-

lizna cała zastawiona. Pewnego wieczoru Morinowie sprzedali nawet stół i dwa krzesła, dla kupienia chleba. Teraz zostaje już tylko deska na dwóch podstawkach, dwa krzesła i łóżko. Karolek spał na podłodze. Ale gdy zachorował, odstąpili mu rodzice łóżko, chociaż mu i na niem niewygodnie, gdyż z materaca wyjęli dużo włosia i zanieśli je do tandeciarki, która płaci po dziesięć su za funt. Teraz ojciec i matka spią na sienniku wypchanym słomą, od któregoby pies się ze wstrętem odwrócił.

Rodzice spoglądają na Karolka, który rzuca się na pościeli. Co to się stało z malcem, czego on bredzi? Czy go czasem pies wściekły nie ukąsił lub go jakiem zielskiem nie opoili? Przyszła sąsiadka Bonnet i spojrzawszy na chorego, rzekła, że to gorączka. Ona zna tę chorobę, na nią mąż jej umarł. Słowa te okropnie zatrwożyły Morinów; matka płacze, ściskając Karolka w swych objęciach, ojciec wylatuje jak szalony po doktora. Rzeczywiście przyprowadza jakiegoś bardzo wysokiego z nadętą miną; na twarzy jego maluje się wstręt przy wejściu do izdebki. Jednakże przykłada ucho do pleców dzieciaka, opukuje mu pierś, nie mówiąc ani słowa. Potem prosi o pióro dla zapisania recepty; lecz u Morin'ów niema pióra, Bonnetowa więc przynosi od siebie ołó-

wek i kawałek papieru. Napisawszy receptę, doktór milcząc wychodzi. Wtedy matka w strachu biegnie za nim i pyta słabym głosem.

— Co mu takiego, proszę pana?

— Pleura, — odpowiada lekarz bez dalszych objaśnień.

Potem sam zapytuje:

— Jesteście zapisani do biura dobroczynności?

— Nie, panie... Nie potrzebowaliśmy tego w przeszłym roku. Zima nas dobiła.

— Tem gorzej! tem gorzej.

I doktór schodzi na dół, unikając dotknięcia się poręczy pokrytej brudem; obiecuje jednakże jutro chorego odwiedzić. Największa trudność polega na pójściu do apteki i kupieniu lekarstwa. Pani Bonnet pożycza dwadzieścia su. Razem z czterdziestoma su, które przyniósł stary Morin, stanowi to trzy franki dwadzieścia pięć centimów, zostaje więc jeszcze piętnaście su na kupienie węgli kamiennych i łojowej świeczki. Pierwsza noc przechodzi szczęśliwie. Matka zapaliła w piecu. Chory zmęczony gorączką, uspokoił się; małe jego rączki gorące i całe ciało rozpalone. Morinowie uspokajają się widząc go wycieńczonego gorączką. Wmawiają w siebie, że jakoś to przejdzie, lecz znowu strasznie się trwożą, gdy doktór

przyszedłszy na drugi dzień, kiwa głową jak gdyby chciał powiedzieć, że z dzieckiem źle.

W ciągu pięciu dni niema żadnej zmiany, chory leży jak kamień. W pokoju nędza ujawnia się jeszcze widoczniej, niż kiedykolwiek, jak gdyby wraz z wiatrem wchodziła przez szczeliny okien i drzwi. Następnego dnia trzeba było znowu wyciągnąć garść włosia z pod chorego na zapłacenie apteki. Trzeciego wieczoru matka sprzedała ostatnie dwie koszule. Następnie, wyczerpawszy wszystkie środki, nie wiedzą, co mają począć. Stary Morin dalej najmuje się do rozbijania lodu, lecz czterdzieści su już nie wystarcza. Przytem robota to nietrwała i w każdej chwili może się przerwać. Ponieważ doktór powiedział, że taki srogi mróz niedobry dla dziecka i może je łatwo do grobu wpędzić, więc Morinowie życzą sobie odwilży, choć przytem biorą pod uwagę, że wraz z odwilżą ojciec pozbawiony będzie ostatniego zarobku. Rano wychodząc z domu, cieszy się on, gdy widzi ulice pokryte śniegiem i wszystkie kałuże pozamarzane; potem przypomina sobie synka, męczącego się na poddaszu i pragnie słonecznych promieni, wiosennego ciepła, które spędziłoby śnieg z ulicy.

Ach! gdyby oni byli zapisani do dobro-

czynnego biura, korzystaliby darmo z pomocy lekarskiej i lekarstw. Matka chodziła do merostwa, lecz jej odpowiedziano że teraz za dużo kandydatów, musi więc poczekać. Wydali jej kilka kwitów na chleb; jakaś litościwa dama dała jej franka. Tymczasem nędza ciągle ich gnębi. Piątego dnia choroby Morin przynosi ostatnie czterdzieści su. Rozpoczęła się odwilż, więc go uwolniono.

Wtedy zaczyna się konanie; niema czem palić w piecu, niema chleba i niema z czem iść po lekarstwo. W ciemnym, wilgotnym pokoju ojciec i matka drżą z chłodu obok umierającego dziecka. Pani Bonnet przestała nawet do nich chodzić, gdyż jest bardzo czułą i przykro jej na nich patrzeć. Pozostali lokatorowie pospiesznie przechodzą koło ich drzwi. Chwilami łkania tłoczą pierś Morinowej i wtedy rzuca się ona na łóżko, jak gdyby chciała ulżyć cierpieniom dziecka i wyleczyć je, przycisnąwszy do piersi. Morin odurzony, całemi godzinami stoi u okna a podniósłszy róg chustki, patrzy na odwilż, na wodę, która dużemi kroplami spada z dachów na ulicę. Usiłuje on pocieszyć się myślą, iż może Karolkowi będzie lepiej.

Pewnego dnia doktór oznajmia, iż więcej nie przyjdzie, ponieważ to niepotrzebne. Dziecko już nie wstanie.

— Wilgotna pogoda ostatecznie go zgubiła — dodaje.

Wtedy Morin grozi pięścią niebu. Więc każda pogoda szkodliwa dla biedaków! Był mróz i było źle, nastąpiła odwilż i stało się jeszcze gorzej. Jeśli żona się zgadza, to najlepiej zapalić fajerkę z węglami i przenieść się wszystkim trojgu na tamten świat. Lepiej odrazu skończyć, jeśli nie można dłużej wytrzymać, jeśli niema dla nich światła na ziemi. Tymczasem Morinowa znowu poszła do merostwa, gdzie jej obiecano wydać wsparcie. Czekają. O! jak długi i ciężki dzień. Słychać, jak na ulicy deszcz leje. Ciemno i zimno. W jednym rogu sufitu deszcz przecieka tak, że trzeba dla zebrania wody garnek podstawić. Od wczorajszego dnia matka i ojciec nic nie jedli, mały wypił tylko filiżankę lipowego kwiatu, którą mu stróżka przyniosła. Morin, siedząc przy desce, która służy im zamiast stołu, skrył głowę w dłonie: nie śpi, lecz nie wie, co się z nim dzieje, w uszach mu dzwoni. Ile razy czyjeś kroki dają się słyszeć w korytarzu, Morinowa biegnie ku drzwiom sądząc, że to obiecane wsparcie.

O szóstej godzinie zapada noc, a nikt jeszcze nie przyszedł. Morinów otacza mrok ponury, zimny, dręczący i złowieszczy, jak kon anie.

Nagle Karolek szepcze przerywanym głosem:

— Mamo, mamo...

Matka zbliża się i czuje oddech jego na swojej twarzy. W miarę wzrastającej ciemności oddech staje się coraz słabszym; widzi ona, jak dziecko rzuca się w tył skostniałe. Krzyczy więc, błaga:

— Świecy! zapalcie świecę!... Karolku powiedz coś.

Niema już świec. Drżącemi rękami stara się zaświecić zapałki, lecz łamią się wszystkie w jej palcach. Nareszcie udaje jej się oświecić martwą głowę Karolka, która po chwili znika w ciemnościach.

Krzyk wydziera się z jej piersi:

— Ach! Boże mój, on umarł... Patrzno Morin, on umarł!

Ojciec podnosi głowę, odurzony, oślepiony ciemnością. Mruczy:

— No tak, umarł? cóż robić... Lepiej.

Poczem znowu opuszcza głowę na dłonie. Nie śpi, nie myśli. Gdyby mógł w tym stanie zostać na wieki, byłby szczęśliwym.

Tymczasem Bonnetowa, usłyszawszy jęk matki, zdecydowała się przyjść z lampą. Obie kobiety ubierają dziecko. Ach! jakąż to litość wzbudza taki trup dziecka — chudziutki, leciuchny, jak piórko! Nie widać go wcale na łóżku. Gdyby na nie położono

zmarzniętego i podniesionego z ulicy wróbla, nie zająłby więcej miejsca. Ojciec z matką zmieściliby się z nim na łóżku i nie byłoby im ciasno.

O siódmej godzinie, gdy już obie kobiety skończyły ubierać dziecko, zastukano do drzwi. Przybyło wsparcie: pięć franków, kwit na chleb i mięso. Stary Morin śmieje się przytłumionym głosem, mówiąc, że biuro dobroczynności zawsze spóźnia się na pociąg; Bonnetowa, która widząc, że dziecko umarło, znowu stała się nader uprzejmą, tłómaczy, że go tem nie wskrzeszą, gdy sami będą koło niego się głodzić; ofiaruje się zejść po chleb i mięso, obiecując przynieść i świece.

Zgadzają się na to. Wróciwszy, nakrywa do stołu i podaje kupione gorące kiełbaski. Zgłodniali Morinowie chciwie jedzą obok Karolka, którego blada twarzyczka widnieje z pod prześcieradła. W piecu się pali, wszyscy czują przyjemność. Chwilami oczy matki napełniają się spadającemi na chleb łzami. Ach gdyby Karolek był żywy, z jaką rozkoszą zjadłby parę kiełbasek!

Bonnetowa chce koniecznie przepędzić noc z Morinową. Około północy, gdy stary Morin zasnął wreszcie, położywszy głowę na róg łóżka, obie kobiety palą kawę. Druga sąsiadka, osiemnastoletnia szwaczka, gruba

Zofia, została także zaproszoną. Przyniosła z sobą butelkę wódki, aby zyskać prawo do udziału w stypie. I oto trzy kobiety popijają kawę, opowiadając sobie szeptem historyę o różnych nadzwyczajnych śmierciach. Zwolna głosy się podnoszą, plotki rosną; nie zostawiły już suchej nitki na nikim w domu i cyrkule. Mówią o zbrodni popełnionej na ulicy Nallet, o jednej utrzymance, którą kochanek porzucił, ażeby się ożenić z hrabiną.

O piątej godzinie rano znowu gotują kawę. Czasami Morinowa wstaje i patrzy na Karolka, jak gdyby się chciała przekonać czy się czasem nie poruszył.

Nazajutrz cały dzień trup pozostaje w domu, gdyż wieczorem nie zawiadomiono o śmierci. Ponieważ Morinowie mają tylko jeden pokój, więc żyją dalej razem z Karolkiem, jedzą i śpią z nim razem. Chwilami zapominają o nim; gdy go znowu zobaczą, odwróciwszy głowę, doznają takiego uczucia, jak gdyby go raz drugi tracili. Wreszcie mija druga noc i grabarze przychodzą po ciało.

Stary Morin poszedł zawiadomić policyę, że umarł mu syn a on nie jest w stanie pochować go własnym kosztem. Nie ulega wątpliwości, że policya nie zrujnowała się na trumnę. Wygląda ona jak pudełko do

zabawek — cztery licho zbite deski i dziesięć gwoździ. Lecz ponieważ schody są strome, grabarze więc mają dużo kłopotu — na każdym stopniu trumna uderza o poręcz. Zostawili na dole swe tragi, wązkie, z okrągłym wierzchem, ordynarnie pomalowane na czarno, bez żadnej draperyi. Z Bogiem, w drogę! — prawie galopem biegną do kościoła.

Za tragarzami idzie ojciec z dwoma towarzyszami, których spotkał po drodze; dalej Morinowa, Bonnetowa i gruba Zofia. Cała ta kompania brodzi po błocie. Deszczu niema, lecz mgła tak wilgotna, że przenika nawskroś odzienie. W kościele orszak przyjmuje u drzwi ksiądz w brudnym ornacie i prędko modlitwy odtrzepał. W pięć minut nabożeństwo skończone. Pochód znowu się rozpoczyna po zabłoconym bruku. Cmentarz daleko za fortyfikacyami. Orszak przechodzi przez aleję Saint-Quaine, przez rogatki i nareszcie dostaje się na cmentarz. Jest to rozległe pole — rodzaj pustkowia, otoczonego ze wszystkich stron białą ścianą. Rosną na nim chwasty; rozkopana w wielu miejscach ziemia tworzy wyniosłości, a w głębi widnieje rząd cienkich i czarnych drzew, jak ciemne plamy rysujących się na niebie. Orszak idzie dalej po miękkiej ziemi.

Znowu deszcz padać zaczął a tu trzeba czekać na rozgniewanego księdza, który wychodzi z małej kapliczki. Karolek spocznie w ogólnym grobie. Biedaków chowają w niewielkich równoległe kopanych rowkach: wszystkie jamy zasypują ziemią. Tylko z ostatniej, świecą zawsze nowe deski i trumny. Pole, jakby zasiane czarnemi uwieńczonemi krzyżami, zgniłemi na deszczu, pole zmarłych nędzarzy, opustoszone, ponure, brudne — zbiorowisko trupów, których dostarcza głód i chłód w Paryżu.

Już do połowy przysypano Karolka ziemią i rodzice odchodzą, nie mogąc nawet przyklęknąć w błocie grobu. Ponieważ leje dalej, deszcz stary Morin, któremu zostały trzy franki z pięciu przysłanych przez biuro dobroczynności zaprasza dwóch towarzyszy i obie sąsiadki do handlu winnego. Całe towarzystwo zasiada u stołu, wypija dwa litry zakąsiwszy je serem Brie. Potem dwaj towarzysze stawiają również dwa litry. Całe towarzystwo wraca do Paryża w bardzo wesołem usposobieniu.

II.

HRABIA VERTEUIL.

Hrabia de Verteuil ma lat pięćdziesiąt. Należy on do jednej z najpierwszych familij we Francyi i posiada olbrzymi majątek. Dąsając się nieco na rząd, pisywał dla zabicia czasu artykuły do poważnych dzienników i dzięki im wszedł do Akademi nauk moralnych i politycznych. Rzucał on się na rozmaite wielkie przedsiębiorstwa i rozmiłowywał się kolejno to w rolnictwie, to w hodowli bydła, to w sztukach pięknych. Był nawet pewien czas deputowanym i odznaczał się ostrością opozycyi. Hrabia de Verteuil jest osobistością bardzo wydatną w Paryżu; nadzwyczaj miły, dużo bywał w świecie i z lekkim odcieniem wyszukanego lekceważenia traktuje pêle—mêle współczesnego towarzystwa.

Żona jego, Matylda de Verteuil, ma lat trzydzieści osiem. Uchodzi za najrozkoszniejszą blondynkę w Paryżu. Z postępem lat cera jej staje się coraz delikatniejszą.

Przedtem była za chuda, lecz teraz ramiona jej zaokrągliły się, jak dojrzały owoc. Jest tak piękną, jak nigdy jeszcze nie była. Gdy wchodzi do salonu, złociste jej włosy i delikatna cera twarzy, czynią ją podobną do wschodzącego słońca. Młode kobiety jej zazdroszczą.

Pożycie małżeńskie hrabiego i hrabiny nie daje powodu do plotek. Pobrali się według zasad przyjętych w ich towarzyskiem kółku. Zapewniają nawet, iż żyli bardzo zgodnie z sobą całe sześć lat. W tym czasie mieli syna Ferdynanda, który już dosłużył się stopnia kapitana i córkę Blankę, którą w zeszłym roku wydali za rotmistrza de Lussac'a. Pogodzili się z rządem w osobie swych dzieci. Dawno już zerwali wszelkie z sobą stosunki; zachowują tylko pozory przyjaźni, co nie przeszkadza im prowadzić życie egoistyczne i odosobnione. Radzą sobie wzajemnie, są dla siebie w towarzystwie wyszukanie grzeczni, lecz każde z nich zamyka się w swych apartamentach i przyjmuje osobno serdecznych przyjaciół.

Pewnego razu młodsza, rozebrawszy Matyldę, która wróciła z balu o drugiej godzinie rano, oznajmiła jej przed odejściem.

— Jaśnie wielmożny hrabia czuł się nieco cierpiącym dziś wieczór.

Hrabina, na pół drzemiąc, leniwie odwraca głowę, mruknąwszy:

— A!

Poczem przeciągając się na łóżku, dodaje:

— To zapewne przejdzie... Obudź mnie jutro o dziesiątej godzinie. Oczekuję modniarki.

Na drugi dzień, ponieważ hrabia nie zjawia się na śniadanie, hrabina posyła najprzód dowiedzieć się o jego zdrowiu a następnie postanawia sama go odwiedzić. Zastaje go w łóżku; jest nieco blady, lecz wygląda zupełnie przyzwoicie. Było już trzech doktorów, porozmawiali z sobą po cichu i zostawili recepty; w ciągu dnia mają znów zajrzeć. Chorego pielęgnuje dwoje sług, poważnych i milczących, którzy bez hałasu stąpają po dywanach i jak cienie to pojawiają się, to znikają. Zupełny porządek panuje w sypialni; niema żadnych flaszek; meble w porządku rozstawione. Widać tu przyzwoitą i akuratną chorobę, chorobę ceremonialną, która oczekuje wizyt. Możnaby pomyśleć, że hrabia w klubie i zaraz wróci, gdyby z pod kołdry, na której nie widać ani jednej fałdy, nie wystawała głowa jego, pokryta trupią bladością.

— Niezdrów jesteś, mój drogi, zapytuje wchodząc hrabina.

Chory z wysiłkiem się uśmiecha.

— Bagatela, małe zmęczenie. Potrzeba mi tylko spokoju... Dziękuje ci, żeś się do mnie pofatygowała.

Mija dwa dni. Pokój chorego zachował swój urzędowy charakter. Każda rzecz na swem miejscu. Lekarstwa znikają bez śladu, pielęgnowanie chorego nie ustaje i nie okazuje pośpiechu, służba wypełnia w milczeniu swe obowiązki, nawet znudzenie nie zdradza się w niczem na jej twarzach. Można wejść, kiedy kto chce; hrabia jest zawsze gotów do przyjęcia gości. A jednak wie, że stan jego wzbudza obawę, ktorą odgadł ze słów doktorów, ciągle snujących się po schodach. Bez słowa skargi pozwala im działać. Najczęściej leży całe godziny z zamkniętemi oczyma lub też spogląda uporczywie w przestrzeń, jak gdyby rozmyślając o swem osamotnieniu. Powoli staje się coraz słabszym, co mu nie przeszkadza troszczyć się o zachowanie przyzwoitej pozycyi, zakrywać się kołdrą pod sam podbródek i trzymać głowę na środku poduszki.

A hrabina tymczasem opowiada w świecie, iż mąż jej jest nieco chory. Nie zmieniła ona zupełnie swego trybu życia, je, pije, wyjeżdża na spacer w zwykłe godziny. Każdego rana i wieczoru przychodzi dowiadywać się od hrabiego, jak się on czuje.

— No, jakżeż, lepiej ci, mój drogi?

— Tak, tak, daleko lepiej, dziękuje ci, moja kochana Matyldo.

— Jeśli sobie tego życzysz, zostanę przy tobie.

— O! to zupełnie niepotrzebne. Julian i Franciszek doskonale mnie pielęgnują. Pocóż więc masz się trudzić dla bagateli.

Rozumieli się oni wzajemnie. Żyli oddzielnie i pragną umrzeć oddzielnie. Szczególniej hrabia odczuwa dziwną przyjemność egoisty, który życzy sobie umrzeć w osamotnieniu, nie pozwalając by przed nim odegrywano komedye żalu. Gdyby powiedział słowo, żona nie odstąpiłaby od jego łoża, ale on chce ją i siebie wybawić od ciężaru ostatniego sam—na—sam. Chce umrzeć przyzwoicie, jak przystoi człowiekowi dobrze wychowanemu, który nie myśli nikogo niepokoić i zostawiać po sobie nieprzyjemnego wspomnienia. Sam nasuwa hrabinie pozór by mogła nie zmieniać codziennego trybu życia i po to też ona codzień do niego przychodzi.

Lecz pewnego wieczoru hrabia ledwie dysząc, zaczyna się obawiać, iż nocy nie przeżyje. Więc, gdy hrabina przychodzi ze zwykłą wizytą, powiada on do niej, dobywając reszty sił, by ostatni raz się uśmiechnąć.

— Niedobrze mi jest... Nie wyjeżdżaj z domu.

Niechce ją narażać na plotki miejskie. Ona zaś oczekiwała tego ostrzeżenia. Powinna być przy nim w ostatniej godzinie. Przenosi się więc do jego pokoju. Doktorzy nie opuszczają już ani na chwilę umierającego. Słudzy pielęgnują go dalej z tą samą milczącą gorliwością. Posłano po dzieci. Ferdynand i Blanka stoją wraz z matką u węzgłowia. Pozostali krewni znajdują się w sąsiednim pokoju; pół nocy przechodzi w uroczystem oczekiwaniu; ceremonia skończona, hrabia może umrzeć. Nie śpieszy się on i zdaje się, znajduje w sobie nowe siły, by uniknąć śmierci konwulsyjnej i hałaśliwej. Tylko oddech jego napełnia pokój szumem zepsutego zegaru. Można byłoby otworzyć drzwi i zawezwać gości — do tego stopnia wspaniałe urządzenie kryje agonię i straszliwy widok śmierci. Tu umiera człowiek dobrze wychowany. Pocałowawszy żonę i dzieci, oddala on ich ostatnim gestem, odwraca się ku ścianie i umiera szczęśliwy, że nie sprawił przykrości obecnym.

Wtedy jeden z doktorów nachyla się, zamyka oczy nieboszczykowi i wyprostowawszy się, przemawia półgłosem:

— Skończyło się.

Dają się słyszeć słabe szlochania. Hrabina, Ferdynand i Blanka padają na kolana. Płaczą, zasłoniwszy twarz rękoma. Twarzy więc nie widać. Następnie wychodzą; dzieci wyprowadzają matkę, która doszedłszy do drzwi, kołysze się, jęcząc, by dowieść swej rozpaczy. Od tej chwili nieboszczyk należy do ceremonii pogrzebu. Doktorzy oddalają się z zgiętym karkiem, przybrawszy smutną minę. Natychmiast wołają księdza z pobliskiego kościoła, by czuwał nad ciałem w towarzystwie dwojga sług. Siedzą oni na krzesłach sztywni i przyzwoici. Nastąpił oczekiwany koniec służby. Twarze ich zachowują niezmącony spokój dobrze wymusztrowanych lokajów, gotowych usługiwać swemu panu nawet wtedy, gdy już go niema na świecie. Jeden z nich spostrzega łyżkę zostawioną na stole, wstaje więc i czemprędzej chowa ją do kieszeni, by porządek pokoju w niczem nie został naruszony. Gdy tylko świtać zaczęło, w wielkim salonie na dole dał się słyszeć stuk młotków; to tapicerzy przemieniają wielki pokój na wspaniałą kaplicę. Cały poranek schodzi na balsamowaniu; drzwi zamknięte, tylko operator z pomocnikami zostaje z trupem. Gdy spuszczają hrabiego na dół, gdy go kładą na katafalk, jest już on we fraku, z naróżowanemi policzkami; jego

świeża i młoda cera usuwa wszelkie smutne myśli.

Tymczasem od dziewiątej zrana pałac zapełnia się cichym szmerem głosów. Syn i zięć nieboszczyka w salonie parterowym przyjmują tłum gości w czarnych frakach; jednym kłaniają się, drugich ściskają za ręce, zachowując milczącą grzeczność zasmuconych ludzi. Przed nimi przechodzą wszystkie znakomitości szlachty, armii, magistratury; zjawiają się nawet deputowani i akademicy. Nareszcie o dziesiątej godzinie pochód rusza z miejsca, kierując się ku kościołowi. Karawan pierwszej klasy, uwieńczony kitą z piór, pokryty draperyami, ozdobiony czterema srebrnemi statuami płeczek, które dźwigają kopułę. Marszałek Francyi, jakiś książę, stary przyjaciel nieboszczyka, były minister i akademik podtrzymują cztery rogi draperyi. Za karawanem mistrz ceremonii niesie na poduszce z czerwonego aksamitu ordery nieboszczyka. Ferdynand de Verteuil i de Lussac przewodniczą orszakowi pogrzebowemu. Za nimi postępuje tłum w czarnych krawatach i rękawiczkach, wszystko osobistości poważne. Zwyczaj wymaga, by do kościoła iść pieszo; a więc puste karety postępują za orszakiem, zagradzając ulice, przez które on przechodzi. Cała dzielnica jest wzburzona i tłoczy się

u okien; przechodnie zatrzymują się w rzędzie na trotuarach, zdejmują kapelusze i spoglądają kiwając głową na wspaniały karawan; omnibusy, fiakry potrącają się przy przecięciu ulic; komunikacya przerwana, daje się słyszeć wymyślanie stangretów i trzask bicza. A w tym samym czasie hrabina de Verteuil, pozostawszy w domu, zamknęła się w swym pokoju i poleciła oznajmić wszystkim gościom, iż łzy ją zupełnie wycieńczyły. Leżąc na sofie i bawiąc się kwastami u paska, patrzy w sufit, spokojna i zamyślona.

W kościele ceremonia trwa około dwóch godzin. Wszyscy księża na nogach, od samego rana biegają zakłopotani, wydając rozkazy, obcierając pot z czoła chustką i wycierając nos z hukiem grzmotu. Kościół pokryty kirem a w środku wznosi się katafalk. Herb nieboszczyka, wyszyty srebrem, widnieje na draperyi z daleka. Wszedł orszak; damy się zebrały na lewo, mężczyżni na prawo: organ ponuro szumi, śpiewacy mruczą przytłumionym głosem, dzieci z chóru przeraźliwie piszczą a zielony płomień nadaje uroczystej ceremonii pogrzebową barwę.

— Czy to prawda, że Faure będzie śpiewał „Pie Jesu“ ?— zapytuje sąsiada jeden z deputowanych.

— Tak, zdaje się—odpowiada sąsiad, były prefekt, przystojny bardzo mężczyzna, zdaleka uśmiechający się do kobiet.

I gdy głos śpiewaka daje się słyszeć w akustycznie zbudowanym kościele, były prefekt powiada, kiwając w zachwycie głową:

— Hu! co to za metoda, jakie umiejętne frazowanie.

Wszyscy obecni są zachwyceni. Damy uśmiechają się nieznacznie, przypominając sobie wieczory spędzone w operze, mężczyźni dają dowody uznania kiwaniem głowy. Ten Faure ma rzeczywiście olbrzymi talent. Jeden z przyjaciół nieboszczyka zauważył nawet:

— Nigdy chyba tak dobrze nie śpiewał...

Co za szkoda, że biedny Verteuil nie może go słyszeć, on go tak lubiał.

W tym samym czasie koło filaru, dwóch jegomościów w podeszłym wieku rozprawia ze sobą i ocenia wartość pogrzebu. Mówili, iż familia jest skąpa a jednak wyprawiła tak wspaniały pogrzeb. Okrągło rachując, kościół otrzyma dziewięćset franków, tapicerzy sześć tysięcy franków; nie licząc śpiewaków, jałmużny, i t. d. Zbierze się razem do dziesięciu tysięcy franków. Należy podtrzymywać swą godność. Śpiewacy w czarnych opończach przechadzają się koło ka-

tafalka. Księża w liczbie dwunastu dodają powagi ceremoniałowi, kłaniają się, podchwytują chórem łacińskie frazesy, machają kropidłem. Nareszcie sama publiczność przechodzi koło trumny i każdy kropi święconą wodą osłaniające ją sukno z wielkim białym krzyżem.

Śliczny dzień lipcowy. Nitki pajęczyny unoszą się w przezroczystem powietrzu. Na małym placu przed kościołem, panuje straszny zamęt. Ci, którzy nie chcą odprowadzać nieboszczyka na cmentarz, ściskają się za ręce na prawo i na lewo i odchodzą. Orszak zwolna się tworzy. Już kita karawanu powiewa na końcu ulicy i znika a plac jeszcze zapełniony karetami. Słychać zatrzaskiwanie drzwiczek i ruszanie koni galopem po bruku. Wreszcie, powozy porządkują się w jeden rząd i orszak zmierza ku cmentarzowi.

W karetach swoboda: możnaby pomyśleć, że siedzący w nich wyjechali na spacer do lasku, korzystając z pięknej pogody. Ponieważ karawanu już niewidać, zapomina się prędko o pogrzebie i zawiązuje się rozmowa. Damy rozprawiają o letnim sezonie, mężczyźni o interesach.

— Powiedz mi, moja kochana, czy jedziesz znowu tego roku do Biaritz.

— Tak, być może, sama jeszcze nie wiem. W każdym razie nie wcześniej jak w sierpniu... W piątek wyjeżdżamy do naszych posiadłości w departamencie Loiry.

— Ja zaś mam nadzieję zwiedzić tego roku Włochy. Ubóstwiam podróże... Prócz tego, chciałabym zobaczyć papieża.

— Otóż, widzisz mój drogi, udało mu się przejąć list i nastąpił pojedynek. Nic ważnego — lekkie draśnięcie... Wczoraj obiadowałem z nim w klubie. I nawet ograł mnie na dwadzieścia pięć luidorów.

— Uważasz pan, zgromadzenie akcyonaryuszów naznaczono na pojutrze... Chcą mnie wybrać do komisyi rewizyjnej. A ja jestem tak zajęty, że doprawdy nie wiem, czy będę mógł przyjąć... No zobaczę...

Orszak wjechał już w aleje. Drzewa rzucają przyjemny chłód a promienie słoneczne wesoło igrają między gałązkami. Nagle jakaś trzpiotowata dama nachyla się ku drzwiczkom karety i wykrzykuje:

— Patrzcie no! ależ tu prześlicznie! — W tej samej chwili orszak wstąpił na cmentarz Montparnasse. Głosy milkną. Słychać tylko skrzyp kół po piasku alei. W głębi znajduje się familijny grób de Verteuil'ów z białego marmuru, coś w rodzaju kapliczki. ozdobionej rzeźbiarskiemi ornamentami. Trumnę stawiają przed kaplicą i rozpoczy-

nają się mowy. Jest ich cztery. Były minister charakteryzuje polityczne życie nieboszczyka, którego wystawia jako skromnego wielkiego człowieka, nieznanego geniusza, któryby mógł zbawić Francyę, gdyby niepogardzał intrygą. Następnie przyjaciel nieboszczyka, dużo rozprawia o rodzinnych cnotach tego, którego teraz wszyscy opłakujemy. Dalej jakiś jegomość, którego nazwiska nikt nie zna, mówi jako delegat towarzystwa przemysłowego, w którem hrabia de Verteuil był honorowym prezydentem. Nareszcie jakiś malutki człowieczek z popielatą twarzą, ma mowę w imieniu akademii nauk moralnych i politycznych. Podczas wszystkich tych mów obecni interesują się sąsiedniemi grobowcami i czytają imiona na marmurowych płytach. Kto wytężył słuch, może tylko uchwycić urywki frazesów. Jeden starzec z cienkiemi uszami, do którego dolatują słowa: „......przymioty serca, wspaniałomyślność i dobroć wielkiej duszy...“ — kiwa głową mrucząc:

— No, jeszcze czego! znałem go... Był to ostatni sknera.

Ostatnie pożegnania unoszą się w powietrzu, kapłan po raz ostatni błogosławi ciało; tłum rozchodzi się i w samotnym zakątku cmentarza zostają tylko grabarze, spuszczający trumnę do mogiły. Sznury skrzy-

pią ponuro, dębowa trumna trzeszczy przeraźliwie. Hrabia de Verteuil jest u siebie w domu.

A tymczasem hrabina leży nieruchomie na kozetce. Dalej bawi się kwastami i wlepiwszy oczy w sufit, zdaje się być pogrążoną w w głęboką zadumę, która pokrywa lica pięknej blondynki żywym rumieńcem.

III.
KUPCOWA.

Pan Rousseau ożenił się mając lat dwadzieścia z ośmnastoletnią sierotą, Adelą Lemercier. Przy zakładaniu gospodarstwa mieli oni siedemdziesiąt franków kapitału. Z początku sprzedawali lak i papier listowy pod bramą. Później najęli jakąś norę, maleńki sklepik, w którym przesiedzieli lat dziesięć, powoli rozszerzając swój handel. Obecnie mają magazyn papieru przy ulicy Clichy, wartujący przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy franków. Zebrali już pewne oszczędności, lecz wyliczyli, że muszą jeszcze pracować lat dziesięć, by módz przenieść się na prowincyę i tam żyć spokojnie jak rentierzy.

Adela nie bardzo jest zdrową. Zgęszczone powietrze magazynu, nieruchome przesiadywanie za kantorkiem bardzo jej szkodzą. Doktór, którego się poradziła, przepisał jej spokój i spacery w ładną pogodę. Lecz są to takie przepisy, których niepodobna się trzymać, jeśli się chce jak najprędzej zebrać

kapitalik dla zapewnienia sobie spokojnej starości. Adela powiada, że później odpocznie i naspaceruje się dowoli, gdy sprzedadzą magazyn i przesiedlą się na prowincyę.

Samego Rousseau niepokoi, rozumie się, czasami jej bladość i czerwone plamy na policzkach. Lecz handel go pochłania; nie może chodzić za żoną i czuwać nad tem, ażeby była ostrożną. Całemi tygodniami nie ma czasu pomówić z nią o zdrowiu! Ale raz zwrócił jego uwagę suchy jej kaszel. Więc rozgniewał się, że się nie szanuje; zmusił ją ażeby włożyła szal i przeszła się z nim po Polach Elizejskich. Z przechadzki wróciła jednak pani Rousseau zmęczoną i kaszle jeszcze silniej. Rousseau znów pogrąża się w interesach o chorobie zapomina do następnego kryzysu. Tak zwykle bywa u ludzi zajętych handlem. Umierają, bo nie mają swobodnej chwili na leczenie się.

Pewnego razu Rousseau odprowadza doktora na stronę i prosi go, żeby mu powiedział otwarcie, czy żonie jego grozi niebezpieczeństwo? Doktór odpowiada iż należy zawsze ufać naturze; że on widział, jak wyzdrawiali ludzie daleko niebezpieczniej chorzy. Następnie, przyparty wyznał, iż pani Rousseau ma suchoty i to silnie rozwinięte. Mąż zbladł cały, gdy usłyszał te słowa. Kocha on Adelę za ciągłą pracę, którą

z nią dzielił, nim pozyskali możność jedzenia codzień białego chleba. Znalazł w niej nietylko żonę, lecz i pomocniczkę, której roztropność i energia dobrze mu są znane. Strata jej będzie ciosem i dla jego serca i dla jego handlu. Musi jednak zebrać wszystkie swe siły. Nie może przecież zamknąć magazynu, aby spokojnie popłakać. Decyduje się więc nie mówić Adeli ani słowa i nie trwożyć jej widokiem oczów zaczerwienionych od płaczu. Wraca do zwykłego trybu życia. Po miesiącu, gdy wspomina tę smutną chwilę, wmawia w siebie, że doktorzy często bardzo się mylą i że żona jego się tem trapi; spodziewa się on katastrofy, lecz odkłada ją na czas nieokreślony.

Adela bezustannie powtarza:

— Ach! gdy osiądziemy na wsi, zobaczysz, jak będę zdrowa... Mój Boże! wszak tylko potrzeba nam osiem lat czekać. Czas prędko przejdzie.

Rousseau'wi ani do głowy nie przychodzi, że mogliby rzucić interes, kontentując się mniejszemi oszczędnościami. Przytem, Adela na to by się niezgodziła. Kiedy kto naznacza sobie cyfrę, powinien jej dosięgnąć.

Tymczasem już dwa razy pani Rousseau musiała czas pewien przeleżeć w łóżku. Poprawiwszy się nieco, znowu siadała za kantorkiem. Sąsiedzi mówili: „biedaczka, nie-

długo pociągnie". I mieli racyę. Właśnie w czasie spisywania inwentarza, położyła się po raz trzeci. Doktór przyjechał rano, pomówił z nią i zapisał receptę roztargniony. Rousseau uprzedzony, wie, iż zbliża się fatalny koniec. Lecz inwentarz zatrzymuje go na dole w sklepie i z trudnością udaje mu się od czasu do czasu wybiedz na pięć minut do żony. Przychodzi, gdy doktór jest u niej, potem wraz z nim odchodzi i zjawia się na minutę przed śniadaniem. O godzinie jedenastej kładzie się spać w gabinecie, gdzie mu kladą słomiany materac. Chorą pielęgnuje służąca, Franciszka. Pociechy wielkiej niema z tej Franciszki; jest to dziewczyna wiejska z Auvergne, bardzo umiarkowanej czystości i grzeczności, z grubemi i wielkiemi rękami. Potrąca umierającą, nieznośnie hałasuje wymiatając pokój, w którym panuje zresztą wielki nieporządek. Próżne flaszki od lekarstw walają się na komodzie, miednice nigdy nieumyte, ścierki wiszą na poręczy od krzeseł; nie wiesz, gdzie stąpnąć, gdyż cała podłoga zawalona rozmaitemi szmatami. Lecz pani Rousseau nie skarży się i poprzestaje na tem, że bije pięścią w ścianę, gdy Franciszka nie zjawia się pomimo wołania. Franciszka nie od tego tylko, żeby ją pielęgnować; musi sprzątnąć magazyn, gotować dla pana i subiektów,

nie licząc już bieganiny za sprawunkami i innych nieprzewidzianych zajęć. Chora nie może więc od niej żądać, żeby nie opuszczała jej ani na minutę. Pielęgnują ją urywkami.

Zresztą, leżąc nawet w łóżku, Adela zajmuje się interesem. Śledzi za sprzedażą, dowiaduje się codziennie, jak idą interesa. Inwentarz ją niepokoi. Gdy mężowi udaje się zabiedz do niej na chwilkę, nigdy nie mówi z nim o swem zdrowiu a wypytuje się o spodziewane zyski. Martwi się bardzo, dowiedziawszy się, że rok wypadł nieszczególnie i przyniósł o tysiąc czterysta franków mniej od poprzedniego. Chociaż febra nią trzęsie, przypomina sobie o obstalunkach z przeszłego tygodnia, przegląda rachunki, prowadzi dom i sama odsyła męża, gdy ten zbyt długo zasiedzi się w jej pokoju. Jego obecność jej nie wyleczy a interesowi zaszkodzi. Przekonaną jest, że subjekci ziewają zamiast pracować.

— Zejdź no na dół, mnie niczego nie potrzeba, zapewniam cię. A niezapomnij zamówić dzienniki. Wkrótce rozpocznie się rok szkolny i możemy się zostać bez dzienników.

Długo łudzi się ona co do swego położenia. Wciąż jeszcze ma nadzieję wstać nazajutrz i usiąść za kantorkiem. Tworzy nawet

rozmaite plany; jeśli wolno jej będzie wyjść z domu, to przepędzą jedną niedzielę w Saint-Cloud. Nigdy tak się jej nie chciało popatrzeć na drzewa. Pewnego jednak poranku posmutniała. W nocy, leżąc sama jedna, z rozwartemi oczami, przyszła do przekonania, że musi umrzeć. Do wieczora nie przemówiła ani słówka i wciąż rozmyślała, utkwiwszy oczy w sufit. Wieczorem zatrzymała męża i spokojnie rozmówiła się z nim, jak gdyby rzecz szła o pokwitowanie z otrzymanego towaru.

— Słuchajno — rzekła— przyprowadź jutro do mnie notaryusza. Mieszka tu jeden w bliz-kości, na ulicy Saint Lazare.

— Po co ci notaryusz — wykrzykuje Rousseau. Tak źle jeszcze nie jest, dzięki Bogu.

Lecz ona ciągnie dalej spokojnie i rozsądnie:

— Być może! Lecz będę spokojniejszą, gdy wszystko uporządkuję... Pobraliśmy się na warunkach wspólności majątkowej, gdyż oboje nie mieliśmy ani grosza przy duszy. Teraz, gdyśmy zebrali trochę pieniędzy, nie życzyłabym sobie, by cię krewni moi obdarli... Siostra Agata nie jest dla mnie tak dobrą, bym miała jej coś zostawić. Wolałabym już zabrać wszystko z sobą do grobu.

Nalega zatem aby mąż na drugi dzień poszedł po notaryusza. Długo z nim rozmawia, żeby zabezpieczył się od możności wystąpienia przeciw testamentowi. Gdy testament został spisany i notaryusz wyszedł, pani Rousseau wyciąga się na łóżku, mrucząc:

— Teraz mogę umrzeć spokojnie... Jednak zasłużyłam na prawo żyć na wsi; muszę przyznać, iż żal mi wiejskiego życia... Lecz ty osiądziesz na wsi, nieprawdaż... Przyrzeknij mi, mój drogi, że będziesz mieszkał w tem samem miejscu, któreśmy wybrali; wiesz ta wioska koło Meudun, gdzie się matka twoja urodziła. Sprawi mi to przyjemność.

Rousseau zalewa się gorzkiemi łzami. Żona pociesza go, daje mu dobre rady. Gdy mu będzie smutno, niech się drugi raz ożeni; lecz niech wybierze sobie kobietę w podeszłym wieku, bo młode dziewczęta po większej części tylko dla pieniędzy za wdowców wychodzą. Wymienia mu nawet pewną kobietę, ich znajomą, z którą najchętniejby go połączyła.

Tej samej nocy przebywa męczarnie konania. Dusi się, łaknie powietrza.

Franciszka zasnęła, siedząc na krześle, Rousseau, stojąc u łóżka, ściska dłoń

umierającej, by pokazać, że jej nie opuszcza.

Nad ranem czuje ona pewną ulgę; jest blada, oczy ma przymknięte, oddycha powoli. Mąż sądzi, że może wraz z Franciszką zejść na dół i otworzyć magazyn. Gdy wraca na górę, znajduje żonę bladą i zastygłą w tej samej pozie. Tylko oczy otwarte. Umarła.

Rousseau już dawno oczekiwał jej śmierci, nie płacze więc, ale ze zmęczenia ledwie stoi na nogach. Schodzi na dół, patrzy jak Franciszka znów zamyka okiennice magazynu i własnoręcznie pisze na arkuszu papieru: „Zamknięte z powodu śmierci“, potem czterema opłatkami przykleja papier do okiennic. A na górze cały poranek schodzi na sprzątaniu i myciu pokojów. Franciszka wyciera podłogę mokrą ścierką, zabiera wszystkie flaszki, stawia koło nieboszczki zapaloną świecę woskową i miskę ze święconą wodą. Oczekują siostry Adeli, tej samej Agaty, co to ma języczek ostry, jak żmija. Franciszka nie chce, aby jej zarzucano, że źle prowadzi gospodarstwo. Rousseau posłał jednego z subiektów dla załatwienia wszelkich formalności. Sam udał się do kościoła i długo targował się o pogrzeb; to że on ma zmartwienie, nie upoważnia, by go obdzierano. Kochał bardzo żonę i gdyby mogła go widzieć, byłaby kontenta, że się targuje

z księżmi i tapicerami. Pomimo tego dla dzielnicy życzy on sobie, by wszystko wyglądało przyzwoicie. Nareszcie ułożył się; daje sto sześćdziesiąt franków kościołowi i trzysta franków tapicerom. Wyrachował, że wraz z drobnemi wydatkami będzie go to kosztowało do pięciuset franków.

Gdy wraca do domu, znajduje koło nieboszczki siostrę Agatę. Agata — wysoka, chuda osoba, z czerwonemi oczami i blademi, wązkiemi wargami. Ostatnie trzy lata siostra i szwagier kłócili się z nią i nie widywali się wcale. Agata podnosi się uroczyście i całuje szwagra. Wobec śmierci wszelkie kłótnie powinny ustać. Rousseau, który rano nie mógł płakać, zalewa się łzami, widząc żonę bladą i nieruchomą, z wyciągniętym nosem i tak wychudzoną twarzą, iż nie może jej poznać. Agata nie uroniła ani jednej łzy. Usiadła na najwygodniejszym fotelu i zwolna wodzi okiem po pokoju, jak gdyby chciała zliczyć dokładnie wszystkie sprzęty. Dotychczas nie mówiła o pieniężnych kwestyach, lecz widać, iż jest zaniepokojoną i zapewne w śmiertelnym strachu zadaje sobie pytanie: czy jest testament, czy go niema?

W dzień pogrzebu, właśnie w chwili, gdy kładą nieboszczkę do trumny, okazuje się, że stolarz się omylił i przysłał za krótką.

Karawaniarze zmuszeni są iść po inną. Tymczasem karawan czeka już u drzwi; cała dzielnica się poruszyła. Rousseau uważa, iż wszystkie te ceremonie są zbyt długie i uciążliwe. Gdyby chociaż żona jego mogła zmartwychwstać od tego, że ją tak długo chowają! Kiedy nieboszczyk w domu, to chociażby się go najbardziej kochało, przyjdzie w końcu chwila, że się gotowym jest błagać, by go czemprędzej wynieśli i gdzieś daleko schowali. Nareszcie karawaniarze wstawiają panią Rousseau w obitą kirem trumnę i w pięć minut później stoi już ona u drzwi na dole. Na ulicy czeka do stu ludzi; miejscowi kupcy, lokatorzy domu, przyjaciele rodziny, kilku robotników w paltotach. Orszak rusza z miejsca, Rousseau przewodniczy. Po drodze sąsiadki żegnają się i szepczą prędko:

— Ach, to właścicielka magazynu z papierem, wszak prawda? Wie pani, taka maleńka, żółta, skóra i kości. No co robić! lepiej jej będzie w grobie! Przykry to jednak los pomyśleć sobie: zamożni ludzie, pracowali całe życie: by zabezpieczyć się na starość a teraz nie będzie nic z tego. Biedna kobiecina.

Sąsiadki znajdują, że Rousseau wygląda bardzo interesująco, bardzo przyzwoicie, gdy sam jeden, blady, z odkrytą głową

z rozwianemi, rzadkiemi już włosami postępuje za trumną.

W kościele księża odprawili mszę w ciągu czterdziestu minut. Agata, ulokowawszy się w pierwszym rzędzie, zdaje się rachować, ile świec wypalono. Bezwątpienia rozmyśla nad tem, iż szwagier za wiele wydał pieniędzy; wszak jeśli testamentu niema i ona odziedziczy połowę majątku, będzie musiała zapłacić do połowy koszta pogrzebu. Ksiądz czyta ostatnią modlitwę, kropidło przechodzi z rąk do rąk, wszyscy wychodzą z kościoła. Najęto tylko trzy karety, w które sadowią się damy. Przy trumnie stoi tylko Rousseau, wciąż jeszcze z odkrytą głową i ze trzydziestu przyjaciół, którzy chcą pozostać do końca. Karawan pokryty tylko czarną draperyą z białą taśmą. Przechodnie zdejmują kapelusze i prędko przechodzą.

Ponieważ Rousseau niema familijnego grobu, wziął więc tylko kawałek ziemi na cmentarzu Montmartre w dzierżawę na lat pięć, z zamiarem kupienia później a wtedy żona jego wejdzie ostatecznie w posiadanie swej mogiły.

Kiedy człowiek staje się bogatym, myśli o tem, ażeby kupić sobie nowe meble i urządzić się z możliwym komfortem a nigdy nie wspomni, aby nabyć kawałek ziemi na cmentarzu. Dopiero, gdy śmierć blizkiej

osoby nagle nas dotknie, zaczynamy myśleć o miejscu, w którem nam samym spocząć przyjdzie.

Karawan zatrzymuje się w końcu jednej alei i trumnę przenoszą na ramionach około nizkich mogił, do dołu, wykopanego w suchej ziemi. Obecni przez kilka minut kręcą się na jednem miejscu. Ksiądz odchodzi, przecedziwszy przez zęby ze dwadzieścia słów. Ze wszystkich stron widać malutkie ogrody otoczone kratami, groby, ozdobione lewkoniami i zielonością drzew, białe płyty wyglądają na tem tle zielonem świeżo i wesoło. Rousseau zauważył jednę z nich, wąziutką z niewielką urną pośrodku. Gdy nazajutrz kamieniarz przychodzi męczyć go swemi projektami, Rousseau decyduje się w oczekiwaniu wieczystej dzierżawy, położyć na mogile żony taką samą płytę z urną.

Tymczasem Agata ciągnie go z sobą i wróciwszy do domu, postanawia nareszcie pomówić o interesach. Gdy dowiaduje się, że jest testament, prostuje się i wychodzi trzasnąwszy drzwiami. Nigdy więcej noga jej w tym domu nie postanie. Rousseau czuje chwilami przystępy wielkiego smutku; lecz najbardziej trapi go i obezwładnia to, że magazyn zamknięty w powszedni dzień.

VI.

JAN LUDWIK LACOUR.

Jan Ludwik Lacour ma lat siedemdziesiąt. Urodził się i zestarzał w Courteuil wiosce mającej półtorasta mieszkańców i leżącej w ustroniu. Podczas całego życia był tylko raz w Angers, odległem na mil pięćdziesiąt. Lecz był wtedy tak młodym, iż nic nie pamięta. Ma troje dzieci: dwóch synów Antoniego i Józefa i córkę Katarzynę. Ostatnia wyszła za mąż, lecz mąż jej umarł; wróciła więc do ojca z dwunastoletnim synem, Jakóbem. Cała rodzina żyje na niewielkim kawałku ziemi, który przynosi tylko tyle, ile trzeba, aby nie umrzeć z głodu i przykryć grzeszne ciało. Nie należą do najbiedniejszych w tej miejscowości, lecz muszą pracować, nie odpoczywając ani na chwilę. Motyką zarabiają na kawałek chleba. Każdy kieliszek wina zdobywają w pocie czoła.

Courteuil leży w dolinie i otoczone jest ze wszech stron lasami, które zamykają je

i ukrywają od ludzkich spojrzeń. Kościoła niema, bo gmina zanadto biedna; ksiądz z Cormier przyjeżdża odprawiać mszę a ponieważ musi jechać dwie mile, więc bywa tylko dwa razy na tydzień. Ze dwadzieścia chwiejnych chałup, w nieporządku porozrzucanych, stoi wzdłuż drogi. Kury grzebią w nawozie u drzwi. Gdy ktoś nieznajomy przechodzi po drodze, wydaje się to tak niezwykłem, że wszystkie kobiety wychylają głowy a dzieciaki wylegające się na słońcu, rozbiegają się z krzykiem przerażenia.

Jan Ludwik nigdy nie był chory. Wysoki to i żylasty mężczyzna, jak stary dąb. Słońce go wysuszyło, opaliło i zahartowało mu skórę, tak, iż podobną jest teraz do grubej kory drzewnej. Przybrał on barwę, siłę i spokój wsi. Na starość jakby oniemiał. Nie mówi, rozumie się, dla tego, iż znajduje to niepotrzebnem. Ma ciężki, wolny chód i spokojną siłę wołu. Wzrok jego skierowany ku ziemi, grzbiet zgarbił się nieco od pracy a ręce zawsze ściśnięte, jak gdyby nigdy nie wypuszczał z nich motyki. W przeszłym roku był jeszcze silniejszym od synów i dźwigał najcięższe roboty, uprawiając w milczeniu pole, które jak gdyby znało go i bało się. Lecz pewnego razu, temu dwa miesiące, upadł i przeleżał dwie godziny na

bruździe jak pień zrąbany. Na drugi dzień znowu wziął się do roboty, lecz teraz niewiadomo, gdzie podziała się jego siła; ziemia już go nie słuchała. Synowie kiwają głowami, córka chce go w domu zatrzymać. Lecz on uparł się, więc posyłają z nim Jakóbka, aby ich zawołał, jeśli dziadek upadnie.

— Co ty tu robisz, próżniaku! — mówi Jan Ludwik do malca, który go nie odstępuje. Ja w twoim wieku już na chleb pracowałem.

— Pilnuję ciebie, dziadziu — odpowiada malec.

Słowa te wstrząsają starca. Wieczorem, wróciwszy do domu, kładzie się i już więcej nie wstaje. Na drugi dzień synowie i córka, wybierając się w pole, przychodzą popatrzeć na ojca, gdyż nie słyszą, ażeby się poruszał. Znajdują go leżącego w łóżku, z otwartemi oczami, zamyślonego. Skóra jego jest tak gruba i ciemna, że nie można nawet rozpoznać, czy zbladł wskutek choroby.

— Cóż ojcze, nie lepiej wam?

Mruczy i przecząco kiwa głową.

— A więc nie pójdzie ojciec z nami, możemy iść sami?

Daje im znak, ażeby poszli bez niego. Żniwo się rozpoczęło; ręce potrzebne w polu. Jeśli się straci poranek, może nadbiedz

burza i roznieść snopy po polu. Nawet Jakóbek idzie z matką i stryjami. Stary Lacour zostaje się sam jeden. Wieczorem, gdy dzieci wracają z pola, zastają go w tem samem położeniu, leżącego na grzbiecie, zamyślonego, z roztwartemi oczami.

— No cóż, ojcze, nie lepiej wam?

Nie, nie lepiej. Mruczy i trzęsie głową. Co by mu tu dać takiego? Katarzynie przychodzi na myśl napoić go odwarem z ziołek i wina; lecz środek ten, za mocny, o mało co go o śmierć nie przyprawił. Wtedy Józef powiada, że poranek mędrszy od wieczoru i wszyscy kładą się spać.

Na drugi dzień, przed pójściem w pole, obaj synowie i córka zatrzymują się kilka minut u łóżka. Stary jest stanowczo chory. Nigdy mu się jeszcze nie zdarzyło tak leżeć kamieniem. Nieźle byłoby może posłać po doktora. Szkoda tylko, że trzeba jechać do Rougemont; sześć mil tam, sześć mil napowrót, to razem dwanaście. Trzeba stracić cały dzień. Stary, słuchając dzieci, unosi się i gniewa. Nie potrzebuje on doktorów; nic oni nie warci a kosztują wiele pieniędzy.

— Więc ojciec nie chce doktora?—zapytuje Antoni. Znaczy się, że możemy iść na robotę.

Zapewne mogą iść na robotę. Cóż oni mu

pomogą stojąc przy nim. Ziemia wymaga większego pielęgnowania, aniżeli on. Jeśli umrze — to jego sprawa i boża sprawa, a tymczasem jeżeli żniwo przepadnie, to wszyscy będą cierpieć. Tym sposobem przechodzą trzy dni, dzieci każdego dnia idą w pole, Jan Ludwik leży nieruchomo, pijąc wodę z dzbanka, gdy mu się pić zachce. Leży jak koń, który upadł od zmęczenia gdzieś w kącie i któremu spokojnie zdechnąć pozwalają.

Sześćdziesiąt lat pracował i nie ma przyczyny się uskarżać; teraz może umrzeć, gdyż już nic nie wart i będzie tylko próżnym ciężarem na ziemi i kłopotem dla dzieci. Któż będzie wahał się zrąbać nadłamane drzewo? Dzieci również nie bardzo się martwią. Ziemia nauczyła ich ulegać temu, co jest nieuniknione. Zanadto są blizcy ziemi, by oburzać się na nią za to, iż pragnie zabrać do swego łona starych ludzi. Przychodzą do starego rano, przychodzą wieczorem, więcej nic nie mogą dla niego zrobić. Jeśli się ojciec wygrzebie, to będzie dowodziło, że ma mocną naturę. Jeśli umrze, to znaczy, że śmierć siedziała już w jego ciele a każdemu wiadomo, że gdy śmierć raz zasiądzie w ciele, to nie wypędzisz jej ztamtąd ani lekarstwem, ni znakiem krzyża. Krowę jeszcze opłaci się leczyć, gdyż jeśli ją oca-

lisz, to w kieszeni zostanie ze dwieście franków.

Wieczorem spojrzeniem pyta się Jan Ludwik dzieci o żniwo. Gdy słyszy, jak rachują snopy, jak rozprawiają o pomyślnej pogodzie, sprzyjającej żniwom, to zadowolenie przebija się na jego twarzy. Mówili jeszcze raz o tem, ażeby pójść po doktora, lecz okazało się za daleko. Jakóbek nie zajdzie a mężczyznom nie sposób się oddalić. Stary prosi tylko, by zawezwano stróża polnego, jego starego przyjaciela. Ojciec Mikołaj, stróż polny, jest starszy od niego, gdyż we Wniebowstąpienie minie mu siedemdziesiąt pięć lat. Pomimo tego stąpa wyprostowany jak topola. Przychodzi on i siada koło Jana Ludwika, kiwając głową. Jan Ludwik, który od rana stracił mowę, spogląda na niego swemi maleńkiemi, zagasłemi oczami. Ojciec Mikołaj niebardzo rozmowny człowiek, również spogląda na niego, nie wiedząc co ma powiedzieć. I obaj starzy siedzą tak naprzeciw siebie, nie mówiąc godzinami ani słowa, kontenci, że się widzą, przypominając sobie stare, bardzo stare historye. Tego samego wieczoru dzieci znajdują starego — nieżywego, leżącego na grzbiecie, skostniałego, z otwartemi oczami.

Tak, starzec umarł, nie poruszywszy się przed śmiercią. Nie niepokoił on sąsiadów

i umarł, jak umierają zwierzęta, spokojnie i ulegle; umarł osamotniony, żałując może, że dzieci będą miały tyle przykrości z jego trupem.

— Ojciec umarł — rzekł najstarszy syn, Antoni, zwołując pozostałych.

I wszyscy: Józef, Katarzyna, Jakóbek, powtarzają:

— Ojciec umarł.

Nie dziwi ich to. Tylko Jakóbek ciekawie wyciąga szyję, matka wyjmuje chustkę do nosa a obaj stryjaszkowie przechadzają się w milczeniu, z twarzą poważną i bladą pomimo opalenia. Zawsze pożył sobie dosyć i silny był niepospolicie stary ojciec. Dzieci pocieszają się tą myślą. Dumni są z siły swego rodu. Siedzą nad ciałem ojca do dziesiątej wieczorem a potem kładą się wszyscy spać i znów Jan Ludwik zostaje sam jeden z otwartemi oczami. Z samego rana, Józef udaje się do Cormier, ażeby zawiadomić proboszcza. Tymczasem, ponieważ nie wszystkie jeszcze snopy zwiezione, przeto Antoni i Katarzyna ruszają w pole, poleciwszy Jakóbkowi, żeby pilnował ciała. Malcowi nudno z dziadkiem, który się wcale nie rusza, więc od czasu do czasu wybiega on na ulicę ciska kamieniami na wróble, patrzy na wędrownego kramarza, który rozłożył fularowe chustki przed dwiema są-

siadkami; poczem przypomniawszy sobie o dziadku, prędko leci do domu, przekonywa się, że umarły się nie poruszył i znowu wybiega popatrzeć, jak się dwa psy gryzą Ponieważ zostawił drzwi otwarte więc do izby weszły kury i spokojnie przechadzają się koło łóżka, uderzając dziobem w glinianą podłogę. Czerwony kogut prostuje się, wyciąga szyję, wytrzeszcza ogniste oko, zatrwożony ciałem, którego obecności nie może sobie prawdopodobnie objaśnić. Jest to ostrożny i mądry kogut, wie on, że stary nie miał zwyczaju wylegać się, gdy słońce już wstało. Wreszcie wydaje swój wdzięczny krzyk, zrozumiawszy może rzecz całą i wyśpiewuje śmierć starca, podczas gdy kury wychodzą, jedna za drugą, gdacząc i dziobiąc podłogę.

Proboszcz z Cormier daje znać, iż przybędzie dopiero o czwartej godzinie. Z samego rana już słychać, jak stolarz piłuje deski i wbija gwoździe; przygotowuje on trumnę dla ojca Lacour a zgrzyt piły i uderzenia młotka rozlegają się po wsi. Wtedy ci, do których jeszcze ta wiadomość nie doszła, mówią sobie: „Ehe! więc Jan Ludwik umarł!“ — gdyż mieszkańcom Courteuil znajome są te dźwięki. Antoni i Katarzyna wrócili z pola, żniwo skończone; nie mogą powiedzieć, iż są niezadowoleni, gdyż już

od lat dziesięciu nie było takiego urodzaju. Cała rodzina oczekuje proboszcza, zajmując się rozmaitemi rzeczami, aby nie było nudno czekać: Katarzyna stawia zupę przy ogniu, Józef nosi wodę; Jakóbka posłali, ażeby popatrzał, czy wykopano już dół na cmentarzu. Nareszcie o piątej godzinie zjawia się proboszcz. Przyjechał na wózku wraz z malcem, który służy jako zakrystyan. Schodzi z wózka przed domem Lacourów, wydobywa stułę i brewiarz, zawinięte w papier, poczem ubiera się, mówiąc:

— Nie traćmy czasu! O siódmej godzinie muszę być w domu.

Jednak nikt się nie śpieszy. Trzeba było pójść po dwu sąsiadów, którzy zgodzili się zanieść trumnę na cmentarz. Też same tragi i toż samo sukno, zjedzone przez móle, służą już lat pięćdziesiąt. Dzieci kładą starego w skrzynię, którą przyniósł stolarz, prawdziwe koryto z grubych desek. Gdy procesya ma już ruszyć z miejsca, przybiega Jakóbek powiedzieć, że grób jeszcze nie wykopany, lecz że można już iść.

Ksiądz idzie naprzód, czytając z książki głośno po łacinie. Za nim postępuje malutki zakrystyan, trzymając w ręku starą miedzianą miskę ze święconą wodą i kropidło. Na środku wsi drugi malec wychodzi ze stodoły, w której zwykle co dwa tygodnie od-

prawiają nabożeństwo i staje na czele orszaku z wielkim krzyżem, osadzonym na drążku. Następnie dwaj włościanie niosą ciało na tragach. Za tragami idzie rodzina; powoli przyłączają się do orszaku wszyscy mieszkańcy wsi a kilku malców, długowłosych, bosych, oberwanych zamyka orszak pogrzebowy.

Cmentarz położony jest na przeciwległym końcu Courteuil. Więc też włościanie dwa razy w drodze spuszczają tragi, chuchają w ręce, napluwszy na nie poprzednio i orszak zatrzymuje się. Potem idą dalej; słychać stuk drewnianych trzewików, uderzających o twardą ziemię. Gdy przechodzą na cmentarz, grób rzeczywiście jeszcze nie gotów; grabarz stoi na dnie i widać, jak głowa jego to pokazuje się, to niknie a rydel wyrzuca wysoko ziemię.

Jakiż to spokój na tym wiejskim cmentarzu, oblanym słonecznemi promieniami. Okrąża go żywopłot, na którym ptastwo wije sobie gniazda. Rosną tam również krzaki jeżyny, z których dzieciaki przychodzą we wrześniu zbierać jagody. Cmentarz podobny jest do zapuszczonego ogrodu w którym wszystko swobodnie rośnie. W głębi widać ogromne krzaki porzeczek. Gdzieś w kącie wyrosła grusza wielkości dobrego dębu; pośrodku aleja lipowa nęci swym cie-

nistym chłodem i starzy przychodzą tu latem wypalić fajkę. Prócz tego, nieuprawiona ziemia porosła wysoką trawą, wspaniałymi chwastami, pstrym dywanem, po nad którym unoszą się roje białych motylów. Słońce pali, koniki polne i złociste muchy brzęczą wśród znoju. Cisza, która panuje na cmentarzu, pełna jest życia; czerwony mak wyrasta na żyznej ziemi, wykarmiony jej sokami.

Trumnę postawiono koło mogiły a tymczasem grabarz dalej rydlem ziemię podrzuca. Malec, który niósł krzyż, wbił go w ziemię u nóg nieboszczyka a ksiądz, stojąc nad głową, dalej czyta z książki po łacinie. Obecnych nadzwyczaj zajmuje praca grabarza. Otaczają mogiłę i śledzą za jego ruchami. Nagle, obejrzawszy się, spostrzegają, że ksiądz z dwoma malcami dawno już odszedł i została tylko rodzina nieboszczyka.

Nareszcie grób wykopany.

— Będzie już dosyć głęboko! — krzyczy jeden z włościan, którzy nieśli ciało.

I wszyscy pomagają spuścić trumnę do dołu. Staremu Lacour spokojnie będzie w nim leżeć. Zna on ziemię i ziemia go zna. Pogodzą się z sobą. Pięćdziesiąt lat temu naznaczyła mu ona schadzkę w tym miejscu, w tym samym dniu, gdy pierwszy raz wsa-

dził w nią motykę. Związek ich nie mógł się był inaczej skończyć i ziemia musiała nim w końcu zawładnąć na wieki. I co to za cudny spokój! Będzie tylko słyszał, jak ptastwo skacze po jego mogile. Nikt nie będzie jej deptał nogami. Długie lata przetrwa on w tym zakątku i nikt go zaniepokoi, gdyż w Courteuil i dwóch ludzi rocznie nie umiera; młodzi starzeją się swobodnie i umierają, gdy przyjdzie ich kolej, nie niepokojąc często swych poprzedników. Tu panuje spokojna śmierć, ozłocona promieniami słońca, wieczny sen, wśród ciszy pól.

Dzieci przybliżyły się. Każde wzięło garść ziemi i rzuciło na starca. Jakóbek, narwawszy mchu rzuca go na mogiłę. Poczem rodzina wraca do domu, bydło wraca z pól, słońce zachodzi i ciepła noc otula wioskę.

V.

PANI GERARD.

Pani Gerard jest wdową. Mąż jej, którego straciła przed ośmiu laty, był sędzią. Należy ona do wyższego mieszczaństwa i posiada dwumilionowy majątek. Ma troje dzieci-trzech synów, którzy po śmierci ojca otrzymali w spadku po pięćset tysięcy franków. Lecz synowie niepojętym sposobem wyrośli w tej surowej, chłodnej, urzędniczej familii na trziotów i marnotrawców. W ciągu kilku lat każdy z nich roztwonił swój półmilijona franków. Starszy, Karol, zapalił się do mechaniki i puścił olbrzymie sumy na niemożliwe wynalazki. Drugi, Jerzy, stracił wszystko na kobiety; trzeciego, Maurycego, okradł przyjaciel, z którym zamierzał zbudować teatr. W obecnej chwili wszyscy trzej mieszkają u matki, która zgadza się ich karmić i utrzymywać, lecz przez ostrożność nie rozstaje się nigdy z kluczami od szafy.

Rodzina ta zajmuje obszerne mieszkanie przy ulicy Turenne w Marais. Pani Gerard ma lat sześćdziesiąt osiem. Wraz z wiekiem rozwinęły się u niej rozmaite manie. Żąda, aby w jej mieszkaniu panował klasztorny spokój i klasztorna czystość. Jest skąpą. Sama rachuje kawałki cukru, sama sprząta rozpoczęte butelki, sama wydaje bieliznę i naczynia kuchenne, w miarę potrzeby. Synowie, rozumie się, bardzo ją kochają; wywiera na nich — pomimo ich trzydziestu lat i trzpiotowatości — silny wpływ. Lecz gdy zostanie sam na sam z tymi trzema bałwanami, doświadcza jakiejś dziwnej trwogi; wciąż się obawia, że zażądają od niej pieniędzy a ona nie będzie umiała odmówić. Dla tego też zmieniła wszystkie swe kapitały na własność nieruchomą: ma trzy domy w Paryżu i kawały gruntu koło Vincennes. Majątek tak ulokowany, sprawia jej wiele kłopotu, jest jednak spokojniejszą, ma bowiem powód niedawania synom naraz za dużo pieniedzy.

Karol, Jerzy i Maurycy objadają matkę jak mogą. Mieszkając u niej, kłócą się o każdą drobnostkę, wyrzucają sobie każdy kawałek. Ponieważ wiedzą, że po śmierci matki będą bogaci, to im wystarcza na usprawiedliwienie swego próżniaczego życia. Chociaż o tem nie mówią, lecz ciągle myślą,

jak wypadną działy; jeśli się nie zgodzą między sobą, trzeba będzie sprzedać majątek a jest to zawsze rujnująca operacya. Przemyśliwają więc nad tem bez złych myśli, po prostu dla tego, iż należy wszystko przewidzieć. Są to wesołe, dobroduszne, poczciwe, w pospolitem znaczeniu tego wyrazu, chłopaki; wszyscy trzej życzą sobie, by ich matka najdłużej żyła. Czekają, ot i wszystko.

Pewnego wieczoru pani Gerard zrobiło się niedobrze gdy wstawała od stołu. Synowie poczekali póki się matka nie położyła. Zostawili ją z młodszą, gdyż zapewniła ich, że jej lepiej, że ma tylko silną migrenę. Lecz na drugi dzień staruszcze zrobiło się gorzej, zatrawrżony lekarz domowy zażądał konsultacyi. Pani Gerard czuje się bardzo źle. I oto w pokoju chorej rozgrywa się dramat.

Pierwszą jej myślą było zażądać kluczów i schować je pod poduszkę. Chce ona, niewstając z łóżka, rządzić domem i ocalić swe szafy od grabieży. Szarpie ją straszna walka, gryzie, męczący niepokój. Trzej synowie stoją przy niej a ona bada ich twarze mętnem spojrzeniem i czeka natchnienia.

Pewnego dnia Jerzy wzbudza w niej więcej zaufania. Przywołuje go więc skienieniem i mówi półgłosem:

— Oto klucze od kredensu, weź go i wyjm cukier... Lecz pamiętaj zamknąć i klucz mi zwrócić.

Następnego dnia nie dowierza już Jerzemu, śledzi oczyma najmniejszy jego ruch, jak gdyby się obawiała, żeby nie schował do kieszeni drobnostek, stojących na kominie. Woła więc Karola i szepcze wręczając mu klucze:

— Młodsza pójdzie z tobą; uważaj jak będzie wyjmowała prześcieradła i sam zamknij szafę.

Podczas konania najwięcej ją męczy myśl, iż nie będzie mogła sama dozorować wydatków domu. Przypomina sobie szaleństwa popełnione przez synów, olbrzymie sumy, jakie daremnie wyrzucili. Wie, że są leniwi, lekkomyślni i marnotrawni. Dawno już straciła dla nich wszelki szacunek, gdyż nie urzeczywistnili ani jednego z jej ideałow i wciąż obrażają jej uczucia oszczędności i porządku. Czuje tylko dla nich pewne przywiązanie, które ją skłania do pobłażliwości na przywary. W jej błagającem spojrzeniu można wyczytać, iż prosi na wszystko, co jest im święte, by pozwolili jej umrzeć spokojnie, zanim zaczną grabić kufry i dzielić między siebie jej mienie. Podział za życia rozbiłby serce umierającej sknery.

Karol, Jerzy i Maurycy są dla niej bardzo dobrzy. Zmieniają się kolejno, by ani na chwilę nie zostawić samej. Szczere ich przywiązanie do niej przejawia się w najdrobniejszych usługach. Lecz fatalnem zrządzeniem, wnoszą oni z sobą lekkomyślność zewnętrznego świata, zapach wypalonego cygara, zajęcie się nowościami, które krążą po mieście. Egoizm chorej cierpi na tem, iż nawet w chwili śmierci nie pochłania ona wszystkich myśli swych dzieci. Następnie w miarę straty sił, niedowierzanie sprowadza naprężone stosunki między matką a młodymi ludźmi. Gdyby nawet nie marzyli o bogactwie, które odziedziczą, to ona sama, broniąc tak zajadle do ostatniej chwili każdego ździbła, naprowadziłaby ich na tę myśl. Tak badawczo patrzy i z takim strachem w spojrzeniu, iż nareszcie ich to mięsza i zmusza do odwracania głowy. Wtedy zdaje jej się, iż czekają jej śmierci. Rzeczywiście myślą o tem. Ona im sama przypomina swem niemem pytaniem, zawartem w spojrzeniu. Ona sama zapełnia ich duszę chciwością. Gdy zauważy, iż który z nich się zamyślił, pyta go:

— Chodźno do mnie... O czem myślisz?

— O niczem, mamo.

Lecz zadrżał przy tem. Wtedy ona, zwolna kiwając głową, dodaje:

— Dużo wam kłopotów sprawiam, moje dzieci. Miejcie cierpliwość, nie trwóżcie się; niedługo umrę.

A synowie otaczają ją, przysięgają, że kochają i do zdrowia przywrócą. Ona odpowiada upartem przeczeniem głową i jeszcze silniej nie dowierza. Straszne to konanie, zatrute pieniędzmi. Choroba trwa trzy tygodnie. Już pięć razy odbyła się konsultacya, na którą największe znakomitości medyczne były zawezwane. Młodsza pomaga synom pielęgnować matkę, lecz pomimo wszelkich starań pewien nieporządek panuje w pokoju.

Niema już nadziei wyzdrowienia, doktór zawiadomił, że chora może lada chwila umrzeć.

Pewnego poranku, synowie myśląc, że matka śpi, rozpoczynają rozmowę o kłopotach majątkowych. Nastąpił piętnasty lipca. Matka miała zwyczaj sama odbierać komorne od lokatorów a teraz synowie nie wiedzą, w jaki sposób te pieniądze wydobyć. Stroż przychodził po rozkazy. Nie mogą w chorobie mówić o inseresach a tymczasem w razie katastrofy, pieniądze będą potrzebne na pogrzeb.

— To mała rzecz! — mówi Karol półgłosem. Zajdę, jeśli chcecie, do lokatorów... Wejdą w nasze położenie i zapłacą.

Lecz Jerzemu i Maurycemu propozycya ta nie przpadła do smaku. Nie dowierzali.

— Moglibyśmy ci towarzyszyć — powiada pierwszy. Wszak wszyscy trzej mamy wydatki.

— No, to też ja wam oddam pieniądze... Czy sądzicie, że z niemi ucieknę.

— Nie, ale lepiej pójdziemy we trzech. Jakoś to prawidłowiej.

I rzucają przytem na siebie spojrzenia, w których przebija się upór i chciwość. Spadek czeka ich lada chwila a każdy pragnąłby lwią część otrzymać. Karol głośno wypowiada tajemne myśli braci.

— Słuchajcie, sprzedajmy wszystko, to będzie lepiej. Jeśli się już teraz kłócimy, to później chyba gryźć się będziemy.

Nagle chrapanie umierającej zwraca ich uwagę. Matka podniosła się blada, drżąca, z błędnem spojrzeniem. Słyszała ich, wyciąga kościste ręce i powtarza przestraszonym głosem:

— Dzieci moje, dzieci...

Wtem konwulsyjnie pada na poduszkę i umiera ze straszną myślą, że dzieci ją grabią.

A oni przerażeni padają przy łóżku na kolana. Całują ręce nieboszczki i z płaczem zamykają jej oczy. W tej chwili miłość budzi się w ich sercu i czują tylko jedno, że osierocieli. Lecz straszna śmierć matki

wywołuje w ich duszy wzajemną nienawiść. Wraz z bogactwem zostawiła im złość i chciwość w spadku.

Służąca ubiera umarłą. Posyłają po zakonnicę do czuwania przy trupie. W tym samym czasie, synowie biegają za interesami; trzeba przecież ogłosić o śmierci, obstalować zapraszające bilety i wydać rozporządzenia co do pogrzebu. W nocy zmieniają się kolejno i wraz z zakonnicą czuwają. W wielkim pokoju przy spuszczonych roletach zmarła leży na łóżku z rękami złożonemi na krzyż i z srebrnym krucyfiksem na piersi. Obok pali się woskowa świeca. W kropielnicy ze święconą wodą stoi gałązka. Noc przechodzi, następuje chłodny poranek. Zakonnica prosi, by jej dali mleka, gdyż czuje się omdlałą.

Mieszkanie jest na pierwszem piętrze, więc tłum zapełnia schody na godzinę przed pogrzebem. Na szczęście w domu jest wielkie podwórko, które zaproszeni zajmują, oczekując ceremonii. Drzwi obite czarnem suknem, obszytem białą taśmą. Trumna stoi jak w niewielkiej kaplicy, otoczona woskowemi świecami a na niej dwa olbrzymie wianki z naturalnych kwiatów. Każdy przychodząc, bierze kropidło i kropi ciało święconą wodą. O godzinie jedenastej występuje orszak. Synowie nieboszczki idą na czele.

Między obecnymi wielu członków sądu, kilku bogatych przemysłowców, cały tłum statecznych i poważnych mieszczan posuwających się miarowym krokiem ¦i z ukosa spoglądających na ciekawych, którzy szeregiem stanęli na trotuarach. Orszak zamyka się dwunastu zamkniętemi karetami. Wywołują one w rachujących je widzach wielkie wrażenie.

A tymczasem obecni litują się nad Karolem, Jerzym i Maurycym; ci ostatni we frąkach, czarnych rękawiczkach, idą za trumną z zaczerwienionemi od łez oczami. Wszyscy przyznają, iż dobrze się rozporządzili i wyprawili matce suty pogrzeb. Karawan trzeciej klasy; obliczają, że wszystko będzie kosztowało kilka tysięcy franków. Jeden stary notaryusz zauważył z ironicznym uśmiechem:

— Gdyby pani Gerard sama zamówiła sobie pogrzeb, zmniejszyłaby ilość karet przynajmniej o połowę.

W kościele drzwi obite suknem, grają organy, ksiądz parafialny odprawia nabożeństwo żałobne. Trwa ono trzy kwadranse. Obecni, przechodząc koło ciała, znajdują trzech synów, stojących rzędem, każdy z nimi się żegna, kto nie może odprowadzić nieboszczki na cmentarz. Przez dwadzieścia

minut stoją oni z wyciągniętemi rękoma, ściskając dłonie przyjaciół, których wcale nie poznają. Kłaniają się, mrucząc coś, przygryzając usta i wstrzymując się od łez. Czują wielką ulgę, gdy nareszcie kościół się opróżnia i gdy znów zwolna kroczą za trumną.

Grób familii Gerard znajduje się na cmentarzu Père-Lachaise, więc niedaleko od dzielnicy Marais. Wielu idzie piechotą, niektórzy siadają do karet. Orszak przecina plac Bastylii i skręca na ulicę la Roquette. Przechodnie podnoszą głowy, zdejmują kapelusze i czytają literę G. wyszytą srebrem na draperyi karawanu. To bogaty pogrzeb, na który robotnicy tej ludnej dzielnicy spoglądają, zajadając kiełbaski z chlebem.

Wszedłszy na cmentarz, orszak zawraca na lewo i jest już u grobowca, w rodzaju gotyckiej kapliczki, z wyciętemi na frontonie słowami „Rodzina Gerard“. Żelazne, wyrzynane drzwi, otwarte na oścież; widać przez nie ołtarz, na którym palą się woskowe świece.

Inne grobowce w tym samym rodzaju, rozstawione w równych odległościach tworzą zaułki. Możnaby pomyśleć, że to wystawa magazynu mebli, ze świeżo wy-

kończonemi i symetrycznie rozstawionemi szafami, komodami i biurkami. Obecni są roztargnieni, zajęci cmentarną architekturą i szukają cienia. Jedna dama poszła zachwycać się wspaniałym krzakiem róży, który, jak pachnący bukiet, wyrósł na sąsiedniej mogile.

Tymczasem opuścili trumnę już do sklepienia, ksiądz czyta ostatnie modlitwy, a grabarze w niebieskich kurtkach oczekują o kilka kroków dalej. Synowie szlochają, wlepiwszy wzrok w sklepienie, z którego zdjęto ruchomą płytę. Tam, w tem chłodnem miejscu i oni kiedyś spoczną. Przyjaciele oddalają ich, widząc zbliżających się grabarzy.

W dwa dni później na zebraniu u notaryusza nieboszczki matki, sprzeczają się oni ze ściśniętemi zębami i suchemi oczami, z zawziętością nieprzyjaciół, którzy postanowili nieustąpić sobie ani szeląga. Interesem ich byłoby poczekać i nie śpieszyć się ze sprzedażą majątku. Lecz wypowiadają sobie prawdę w oczy; Karol wszystko puści na wynalazki; Jerzego napewno ogołoci jakaś dziewczyna a Maurycego niezawodnie wciągnie kto w jakieś przedsiębiorstwo, które pochłonie kapitały. Daremnie notaryusz stara się ich skłonić do polubownej

zgody. Rozchodzą się, grożąc sobie wzajemnie sądem.

Obudziła się w nich nieboszczka z jej skąpstwem i obawą grabieży. Gdy przyczyną śmierci były pieniądze, śmierć rodzi niesnaski i nad mogiłą powstaje walka.

TYPY DUCHOWIEŃSTWA.

I.

WIKARY VILLENEUVE.

Na ulicy Charogne, w samym środku przedmieścia Saint-Antoine, w Paryżu, żyje sobie na wiarę para, na poddaszu sześciopiętrowego, wielkiego, brudnego, wstrętnego domu, z góry do dołu zapełnionego robotnikami. On—mularz, z sześciu roboczych dni tygodnia przez trzy pije. Ona, nieszczęśliwe stworzenie, z rzemiosła introligatorka, zeszła się z nim pewnego razu, gdy nie wiedziała, gdzie ma głowę przytulić—od tej chwili go nie opuściła. Wspólne to życie trwa lat trzy. Zresztą, już w końcu pierwszego miesiąca przypadkowi małżonkowie poczęli się bić, kąsać i drapać. Kiedy Ranbair wraca pijany, Liza chwyta miotłę i wali go, co ma siły. Innym znów razem Ranbair rzuca się na Lizę i bije ją na kwaśne jabłko. Lecz walki te nieprzeszkadzają im kochać się wzajemnie po swojemu. Urządzają sobie takie ciągłe bójki w zimie, aby się

rozgrzać a w lecie, aby czas jakoś prędzej przeszedł. Sąsiedzi przestali nawet ich rozbrajać.

Przeszła jednak zima ciężkiem na nich spadła brzemieniem. Liza, zbita przez Ranbaira, przeleżała sześć tygodni. Ranbair był dwa miesiące bez roboty, bo w zimie się nie buduje. Zbrakło drzewa, zbrakło chleba; oboje więc głodzili się i marzli. Pewnego styczniowego wieczoru tak było z niemi źle, że Ranbair, niebardzo czuły z natury, płakał jak dziecko, siedząc na podłodze, ukrywszy głowę w dłoniach. Dwa dni już nic nie jedli. Liza, która ledwie zaczęła przychodzić do zdrowia, ubrała się i nie mówiąc ani słowa, powlokła się na ulicę. Postanowiła prosić o jałmużnę, by kupić sobie chleba w piekarni. Wytężywszy wzrok i słuch, unikając policyantów, przesuwa się ona wzdłuż domów i zatrzymuje tych przechodniów, którzy zdają się jej być litościwszymi od innych. Na dworze przenikające zimno; przechodniom nie chce się wyjmować rąk z kieszeni, przyspieszają więc kroku i udają, że nie słyszą. Przechodzi godzina. Liza traci odwagę; płacze z chłodu i wstydu, gdy nagle spostrzega młodego księdza, pośpiesznie biegnącego przez ulicę w tak wytartej sutannie, iż twarz jego i ręce posiniały od zimna. Ksiądz ten zapewnie jej nie

da ani grosza; jemu samemu przydałaby się jałmużna. Liza nie bardzo lubi księży i zwykle obsypuje ich właściwemi paryzkiej ludności drwinami. Jednakże wyciąga rękę, dla przekonania się, jaką też on minę zrobi.

— Wesprzyjcie nas, umieramy z głodu.

Ksiądz staje, szuka czegoś w kieszeni — i rumieni się. Poczem mówi pospiesznie:

— Prowadź mnie do was, lecz prędzej, bo się śpieszę.

Ranbair, spostrzegłszy ją powracającą z „krukiem“, zrywa się rozwścieczony z miejsca, sądząc, że chcą z niego żartować. On także nie lubi księży. Spotkawszy się z niemi na ulicy, zawsze pluje z oburzeniem na trotuar. Wciąż utrzymuje, iż należałoby ich wszystkich gilotynować. Lecz ksiądz, który zauważył gniewny ruch jego, bynajmniej się tem nie miesza. Obejmuje on jednem spojrzeniem poddasze, przekonywa się o rozpaczliwej nędzy, która tam panuje i wyjąwszy z kieszeni staroświecki srebrny zegarek na czarnej jedwabnej tasiemce, oddaje go Lizie, mówiąc z tym samym pośpiechem:

— Zanieście to natychmiast do lombardu— tylko prędko—ja poczekam.

Liza, oszołomiona, jednym pędem zlatuje z sześciu pięter. Podczas jej nieobecności, ksiądz stoi milczący i poważny a Ranbair położywszy się znów w kącie i podparłszy

twarz pięściami, nie spuszcza z niego rozpalonych oczu. Nie mówią do siebie ani słowa. Mularza gniewa, że ksiądz się do niego dostał i gdyby nie historya z zegarkiem bez ceremonii zrzuciłby go ze schodów. Liza powraca i przynosi dwanaście franków. Ksiądz bierze kwit, szepcząc:

— Pieniądze zostawcie u siebie... Jeśli będziecie mnie potrzebowali, zapytajcie się o księdza de Villeneuve w parafii Świętej Małgorzaty.

Poczem śpiesznie wychodzi, nie wysłuchawszy nawet podziękowania. Ranbair z początku chce wyrzucić pieniądze za okno, krzycząc, że to trucizna dla porządnych ludzi. Lecz Liza ściska mocno pieniądze w dłoni a gdy przyniosła cztery funty chleba i dwie porcye mięsa z grochem z sąsiedniej garkuchni, mularz przestaje mruczeć i chciwie rzuca się na jadło. Wieczorem nawet para urządza bankiet za pieniądze księdza. Liza kupuje gąsiora za pięć franków, wina, sałaty i zaprasza dwóch sąsiadów. Podczas gdy gęś się smaży, całe towarzystwo skacze po pokoju, krzycząc: Smaż się, Villeneuve! smaż się Villeneuve! Nazwali bowiem gąsiora Villeneuve'm. Podczas uczty wesołość nie ustaje ani na chwilę. Piją za zdrowie „kruków". Następnego dnia wieczorem z dwunastu franków nie zostaje się ani gro-

sza. Na szczęście Liza znajduje zajęcie i zarabia dostatecznie na życie dla siebie i dla Rainbaira.

Wieczorem, podczas uczty u Ranbairów, ksiądz Villeneuve wrocił do domu i według swego zwyczaju zjadł obiad, składający się z chleba i masła. Następnie zasiadł do pracy w nieopalonym pokoju, okrywszy nogi kołdrą. Ksiądz Villeneuve jest mężczyzną wysokiego wzrostu, chudy i blady, pomimo, że ma tylko dwadzieścia osiem lat. Urodził się na południu Francyi w drobnoszlacheckiej i ostatecznie zrujnowanej rodzinie. Zostawszy sierotą w dziesiątym roku życia, przesiąkł nawskroś głęboką nabożnością i wstąpił do seminaryum z wiarą, pełną zapału, dochodzącego czasami do prawdziwej ekstazy. Nauczyciele musieli go powstrzymywać; przewidywali oni bowiem w nim jeden z egzaltowanych umysłów, które nie potrafią zachować równowagi. Następnie Villeneuve przeżył okres strasznej walki. Przy nadzwyczej żywym umyśle namiętnie polubił naukę, pod wpływem której poczęło go ogarniać zwątpienie. Spierał się z profesorami, daremnie starał się pogodzić wymagania wiary z nowemi prawdami, które, jak mu się zdawało, przewidywał. W przesileniu tem doznawał bolesnych cierpień. I pomimo wszelkich usiłowań, do dzisiejszego dnia

wrze w nim wewnętrzna walka, choć spokojne, blade jego oblicze walki tej nie zdradza. W dyecezyi sądzą, iż należy go śledzić i w razie potrzeby wystawiać na próbę, dla uniknięcia skandalu.

Oto przyczyna, dla której ksiądz Villeneuve, pomimo głębokiego umysłu, zajmuje miejsce wikarego przy kościele Św. Małgorzaty, w niewielkiej parafii jednego z przedmieść Paryża. Zwierzchność trzyma go tam dla należytego poskromienia dumy i przyzwyczajenia do karności; on zaś przyjął miejsce wikarego z zupełną obojętnością. Władza się myli on nie jest ambitnym. Jego pochłania żądza pogodzenia wiary z rozumem, religii z duchem czasu. On nie chce odrzucać ani nauki, ani postępu, ani nowego społeczeństwa i jednocześnie pragnie zachować zupełną wiarę w katolickie dogmata. Ciągłe w tym celu wysiłki myśli, które go jednocześnie męczą i niepokoją, obsiewają mu przed czasem czoło zmarszczkami. On kontent, że żyje na paryzkiem przedmieściu, w samem ognisku roboczej ludności, gdyż pojmuje to doskonale, iż religia musi znowu opanować ludność miejską. Całemi dniami włóczy się wśród tłumu robotników, bada ich potrzeby, stara się z zapałem apostoła nawrócić ich na łono kościoła, pomaga im i pociesza. Przedmieście nietylko nie wie-

rzy i obojętnem jest na sprawy religii, której od księży nie odłącza. Do tej chwili ks. de Villeneuve spotykał wszędzie tylko nieprzyjaźń i serce jego krwią się zalewa na widok takiego stanu rzeczy, będącego, jak mu się zdaje, skutkiem fatalnego nieporozumienia. Spotkanie się z Lizą, błagającą go o kawałek chleba i widok głodnego, lecz nie przejednanego w swej nienawiści do księży Ranbaira, silne na umyśle jego sprawiły wrażenie i wzruszyły go do głębi duszy. Po tygodniu znowu poszedł na ulicę Charogne, gdzie zastał introligatorkę, samą jedną, stawiającą na ogniu garnek z kartoflami. Przyjęła go nieźle, gdyż kobiety miększe są od mężczyzn; zresztą była mu serdecznie wdzięczną za dwanaście franków. Ksiądz usiadł i rozpoczął z nią rozmowę. Liza spokojnie opowiedziała mu wszystkie szczegóły ich życia, nawet to, że nie jest żoną Ranbaira.

— Lecz to bardzo źle—zauważył ksiądz—powinniście się pobrać. Po cóż żyć bez ślubu, jeśli już żyjecie ze sobą trzy lata i odpowiadacie sobie?

Liza roześmiała się i wzruszyła ramionami.

— Nam tak lepiej księże proboszczu. Przynajmniej, jeśli pewnego pięknego poranku nie zgodzimy się z sobą to rozejdziemy się bez kłopotów... Zeszło się dwoje

potem się rozeszło — ot i cała zabawa... Czy ksiądz myśli, że ślub przysporzy nam choć pięć franków? Nie, nieprawdaż? Więc nie ma o czem mówić!... Wszystko jedno i tak przeżyjemy. Ani to lepiej, ani gorzej!...

On jednak nalega, rozprawia o społeczeństwie, o moralności, o złym przykładzie, Lecz Liza ciągle tylko kiwa głową.

— Posłuchajno pan: naprzeciwko nas mieszkają żonaci ludzie. No i cóż? Codziennie się biją i piętnastoletnią córkę gotowi są puścić po złej drodze... Widzi więc ksiądz, że ślub nie robi ludzi poczciwymi... Co tu gadać, Ranbair, jak i przedtem będzie przychodził pijany w te dnie, kiedy dostanie zarobek i będzie się ze mną, jak poprzednio, targał za włosy, gdy przyjdzie ochota...

Kiedy ksiądz odchodząc, zostawił pokryjomu dziesięć franków, introligatorka zawołała go, prosząc, by wziął pieniadze napowrót! Bardzo jest mu wdzięczną, lecz nie potrzebuje, bo mają teraz robotę. Jałmużnę można przyjąć wtedy tylko, kiedy się umiera z głodu i nie wie się, co robić. Powiada mu, że w domu naprzeciwko żyje nieszczęśliwa staruszka, chora — nie ma ani grosza na lekarstwo. Niech odniesie jej te dziesięć franków a staruszka z wdzięcznością je przyjmie. Ona zaś i Ranbair mogą, dzięki Bogu, zapracować.

Od tego dnia wikary przyzwyczaił się od wiedzać Lizę i rozmawiać z nią. Przeczuł on dobre serce u tej upadłej kobiety i chce koniecznie połączyć ją z Ranbairem. Później postara się i samego mularza naprowadzić na drogę prawdy, na końcu której widzi tryumf religii. Wiara przenika w głąb serca narodu i przetwarza jego ojczyznę. Dla narodu potrzebna wiara i ksiądz, który nie może podnieść się do nowych socyalnych poglądów i nawskroś przesiąkł długotrwałem wychowaniem katolickiem, marzy o nowo-katolicyzmie, który zlałby się z demokratycznym ruchem naszego wieku.

Wkrótce wszyscy go znają w domu na ulicy Charogne, w tym olbrzymim domu, rozdzielonym na wązkie klatki, w których przemieszkuje przeszło sto rodzin robotniczych, skupionych obok siebie. Gdy przechodzi przez dwór i wchodzi na szóste piętro, oczy wszystkich szyderczo na niego spoglądają. Z dwóchset lub trzechset mieszkańców tego domu, ani jeden nie chodzi do kościoła, ani jeden nie wypełnia obrządków wiary. Maleńka ta ludność przestępuje próg kościoła tylko w dnie wesel, chrzcin lub pogrzebów; lecz i te ceremonie a zwłaszcza wesela, służą jej za przedmiot ciągłych drwin. Łatwo można pojąć, jakie wrażenie sprawia widok księży, ponieważ wszy-

scy mieszkańcy umierają bez błogosławieństwa kapłana. Dla tego też ksiądz słyszy po drodze niezbyt pochlebne uwagi. Kobiety mówią: „Po co tu włóczy się ta czarna wrona“?... „Dziś będzie mi się wszystko źle wiodło, ten złowieszczy ptak przyniesie jakieś nieszczęście“... — „Patrzno! mnich, może idzie z wizytą do facetki, mieszkającej na pierwszem piętrze, w takim razie wypadałoby chyba przebrać się po cywilnemu“.

Co się tyczy mężczyzn, ci jeszcze brutalniejsi. Czyż to nie zgroza—mówią—że taki drab, który zdałby się na grenadyera, przepędza życie w lenistwie i obżarstwie! Drndzy wysuwając się z okna, naśladują krakanie wrony. Robotnik, schodzący ze schodów i obsypany wapnem, naumyślnie potrąca księdza, by powalać jego sutannę. Naokoło wzrasta milczący spisek, potajemna niechęć, wyrażająca się w końcu w groźbach i świstkach.

Lecz nie na tem koniec. Obwiniają księdza, iż odwiedza tak często Lizę bynajmniej nie w religijnych celach. Liza ma jeszcze prześliczne zęby i włosy — mogła ująć sobą wikarego. I nie tylko marni robotnicy, pijacy i leniwcy rozprzestrzeniają tę niegodziwą plotkę: dzielni ludzie, przyzwoici mieszkańcy domu, stateczni robotnicy, którzy nie

przepijają i nie spędzają na hulance ani jednego dnia, śmieją się również głośno z innymi. Ksiądz staje się kozłem ofiarnym, któremu wszyscy urągają. Najpobłażliwsi twierdzą, iż księża tacy ludzie jak i wszyscy inni, że między nimi są źli i dobrzy, lecz że należałoby ich gwałtem żenić, by nie wprowadzali niesnasek do rodzin. Szyderstwa sypią się jak grad, zwłaszcza na conto spowiedzi. Matki rodzin oznajmiają, iż nie będą posyłać córek swych do spowiedzi, gdyż pamiętają, jakie pytania im proboszcz zadawał, gdy miały lat piętnaście. Tak, tak, ksiądz zapewne chodzi spowiadać Lizę. Dobrze on ją wyspowiada, nie ma co mówić! Nareszcie pewnego wieczoru, po bójce, która miała miejsce na podwórzu, pewien ślusarz, któremu Ranbair pięścią oko podbił, wykrzykuje:

— Idź przepijać księże pieniądze. Twoja Liza wraz z swym mnichem okradają skarbonkę dla biednych. Nie ma co mówić, ładnemi rzeczami zajmujecie się we troje!

Wtedy, rozwścieczony mularz, leci na górę i napada Lizę, klnąc i przysięgając, że jeśli kiedy złapie księdza, to mu tęgą łaźnię sprawi. Właśnie ksiądz przychodzi na drugi dzień w chwili, gdy Ranbair kończy jeść obiad.

— Uspokój się, mój drogi! — krzyczy Li-

za. — Ksiądz proboszcz przychodzi w najlepszych zamiarach... On chce, byśmy się pobrali i powiada, że tak będzie przyzwoiciej.

Lecz mularz nie chce nic słuchać i zwymyślawszy księdza w najordynarniejszych wyrażeniach, każe mu się wynieść.

— Zmykaj pan i nie pokazuj tu więcej swego nosa, albo skręcę ci kark i zrzucę ze schodów!.. Czy to słychane rzeczy, aby każda kanalia przeszkadzała ludziom żyć, jak im się podoba!

Ksiądz, zachowując zupełny spokój, oczekuje możności wypowiedzenia słów kilku. I wtedy mówi krótko, stara się wzruszyć rozdrażnionego szaleńca, pytając go, jaki los gotuje on swym dzieciom, jeśli je mieć będzie?

— Posłuchaj mnie, pomyśl o przyszłości, ożeń się.

Lecz Ranbair przerywa mu.

— Ej! ożeń się sam pan naprzód!... Poszukaj sobie żony, ale nie mojej, rozumiesz?... No, wynoś się pan i nie przychodź więcej!

Ksiądz Villeneuve odchodzi ze spuszczoną głową. Męztwo go opuszcza. Schodząc ze schodów, słyszy około siebie złośliwy śmiech; sąsiedzi podsłuchali tę scenę i cieszą się, że go wygnano bez ceremonii. Wszyscy lecą popatrzeć, jaką też on zrobił minę. Wy-

daje im się bardzo zabawnym w swem zakłopotaniu. To dobra lekcya dla mnichów! Gdy następnie ksiądz przechodzi przez część miasta, zdaje mu się, że wszyscy przechodnie śmieją się, patrząc na niego, jak gdyby wiedzieli o jego porażce. Tak, cała dzielnica nieprzyjaźnie jest względem niego usposobiona, całe przedmieście wytyka go palcami. I oto chwila, w której on odczuwa, że ludność miejska zupełnie się wyzwoliła i że kościół nie ma na nią żadnego wpływu. Jego marzenie — wzbudzić wiarę w tłumie i przerobić współczesne społeczeństwo — zachwiane. Boże mój! czyżby nastąpiły nowe czasy? Czyż należy szukać prawdy w innem miejscu a nie w katolickim dogmacie, gdzie on ją dotychczas przyznawał? Zwątpienie wzrasta, walka staje się zaciętszą. Stoi on na ścieżce gorliwych i rozumnych księży, w których budzi się swoboda myśli i którzy odpadają od kościoła, nie będąc jednak w możności stać się pożytecznymi szermierzami postępu. Takiemi nadłamanemi istotami pozostają oni na zawsze i marnieją, nikomu nie przynosząc korzyści.

II.
PROBOSZCZ PAINTOUX.

Ksiądz Paintoux jest już lat czterdzieści. kapłanem parafii Saint-Maréchal. Obecnie ma on lat siedemdziesiąt. Jest to maleńki, chudziutki staruszek, ze zgrabiałą, czerwoną jak cegła twarzą. W swej starej, wytartej sutannie, którą nosi zamiast bluzy, wygląda na wieśniaka.

Historya jego — prosta. Jest synem biednego drwala, który żył w sąsiedniej wiosce. Słabowity z natury, musiał znosić szturchańce braci, póki szczęśliwym trafem nie zainteresowała się nim jedna dama, która pomieściła go w seminaryum w Gerand. Fizyczne trudy przerażały go: drżał na myśl, że będzie musiał dźwigać na grzbiecie ciężkie wiązki i rąbać drzewo, chętniej zgodziłby się żebrać na drodze, niż zostać drwalem jak ojciec. Prawdę mówiąc postanowił sobie zostać księdzem, by nie być ani robotnikiem, ani żołnierzem. Przytem żyła w nim naiwna dziecięca wiara. Przeżył seminarskie

lata w bezwarunkowem posłuszeństwie, ślepo wierząc w to wszystko, w co mu księża wierzyć kazali. Będąc strasznie ograniczonym i niezdarnym, nie utrudzał swej głowy myśleniem, w przekonaniu, że Bóg za niego myśli. W chwili święcenia wychodził z seminaryum wymustrowany, jak należy i życzył sobie tylko, aby mógł w spokoju zajmować się swem rzemiosłem. Biskup w Nantes z początku przeprowadzał go z jednej parafii do drugiej, przekonawszy się jednak o jego ograniczonej naiwności i zrozumiawszy, jak posłusznem narzędziem będzie w jego ręku, posłał go do Saint-Marechal, gdzie zapomniał o nim.

Saint-Maréchal jest to niewielka wioska w Niższej Bretanii, osadzona wśród pól. Droga żelazna z Nantes do Brestu zostawia ją po za sobą w odległości dziesięciu mil.— Wieś ukryła się w odludnem miejscu na równinie, po której powiewają wiatry Oceanu, a jego zielony skraj widnieje w dali na widnokręgu. Ma ona do czterystu dusz ludności biednej, bo i grunt kamienisty i wody brak znaczny. Męczennicza ta ludność żyje, jak gdyby o tysiąc mil oddalona od współczesnej Francyi. Tu przeżył swe lata proboszcz Paintoux i ostatecznie stępiał pośród wieśniaków w zapomnianym zakątku.

Stopniowo, jak koń w maneżu, oswajał się ze swem prostem życiem. Zrana msza, po południu lekcya katechizmu, wieczorem gra w karty z sąsiadem. Trzysta franków dochodu, które parafia przynosiła, nie starczyły na utrzymanie; trzeba więc było, pomimo wstrętu do rolniczej pracy, wziąść się za motykę i skopać zagony, na których dziś wyrastają kartofle i kapusta. Zdjąwszy sutaunę i obnażywszy głowę, walczy probosz Paintoux z ziemią, zbyt twardą dla chudych rąk jego. Następnie wprost od roboty, wdziawszy sutannę, zadyszany, idzie spowiadać wiejskie dziewczyny i przypomina sobie zwykłe łacińskie formuły, które jednym tchem wypowiada. Ma już gotowe frazesy i stałe gesta; powtarza je już od pół wieku i nigdy od nich nie odstępuje. Religia stała się dla niego rzemiosłem, którego się wyuczył do tego stopnia, że odprawia mszę bez najmniejszej uwagi, mechanicznie, jak puszczona w ruch maszyna. Rzeczywiście jest nabożnym, lecz nabożność jego przeszła w praktykę, zadawalniającą się codziennem powtarzaniem tych samych formuł i tych samych szczegółów kultu.

Przez ten czas, to jest w przeciągu pół wieku, pożenił całą prawie wieś i ochrzcił całe pokolenie. Jest patryarchą w Saint-Maréchal. W święta przynoszą mu jaja

i masło i radzą się go we wszystkich ważniejszych sprawach. On rozbiera procesy, on rozstrzyga familijne spory, on wreszcie rozdziela spadki. I nic naturalniejszego nad zwierzchnią władzę tego proboszcza; wszak on jeden tylko czyta w księgach, on jeden tylko jest w stosunku z nauką i Bogiem. Wszyscy go słuchają i postępują według jego wskazówek. Jest on przedstawicielem władzy potężniejszej od samego mera: ten ostatni przemawia w imieniu rządu, on zaś w imieniu nieba, a niebo jest jeszcze dla wieśniaka straszną siłą, przed którą on w pokorze schyla głowę. W całej parafii niema ani jednego niewierzącego. W Niedzielę kościół przepełniony; kobiety stoją z jednej strony, mężczyźni z drugiej. Wychodząc z sakramentem, proboszcz obejmuje wzrokiem kościół i przekonywa się, czy cała jego trzoda jest obecną. Jeśli owieczki jakiejś niema, musi ona później usprawiedliwić swą nieobecność ważną przyczyną: chorobą, która podnieść się z łoża nie dozwoliła. Z kazalnicy rozlegają się straszne groźby przeciw bezbożnikom, opiopisują się męczarnie piekła, płomienie, kotły napełnione wrzącym olejem, grzesznicy, których żarzą na rozpalonych sztabach żelaznych. Mężczyźni i kobiety drżą ze strachu a dzieciom, po wyjściu z kościoła cały

tydzień śnią sie okropności. Religia panuje nad temi ograniczonemi umysłami siłą trwogi. Bezwątpienia proboszcz najlepszy człowiek w świecie, który nawet muchy nie skrzywdzi: miewa takie kazania, jakie sam słyszał, pędzi żywot w obawie i strachu przed groźnym Bogiem, wierzy w cudowne historye i legendy i dla tego to nabożność Saint-Maréchala przesiąknięta jest nawskroś trwogą i pokorą; dla tego w niej przebija przygnębienie, które przypomina przygnębienie dzikich, żyjących w obawie gromów, zawieszonych nad ich głowami.

Raz w niedzielę, podczas mszy, ksiądz Paintoux dostrzega, że Maryanny Roussel nie ma na jej zwykłem miejscu, wprost kropielnicy. Po śniadaniu idzie on do Rousselów, aby się dowiedzieć, czy Maryanna nie jest chorą. Wolnym krokiem przesuwa się po wsi, ledwie przebierając zesztywniałemi od starości nogami. Na nieruchomej i zgrubiałej jego twarzy zdają się żyć tylko malutkie szare oczy, jasne i niewinne, jak oczy niemowlęcia. Chłopi zatrzymują go po drodze, wypytują o jutrzejszą pogodę, on zaś spogląda na niebo, kiwa głową, wreszcie obiecuje pomyślną pogodę. O kilka kroków dalej zwraca uwagę na babę, piorącą bieliznę; następnie wchodzi w jedno podwórze popatrzeć na wylęganie się kurczaków.

Wszędzie jest jak u siebie w domu. Tylko wytarta sutanna wyróżnia go od innych wieśniaków: myśli jego, mowa, nieruchoma twarz, wszystko to wieśniacze. Nareszcie wchodzi do Roussel'ów.

Maryanna zdrowa i rozmawia z sąsiadką, wysoką niezgrabną Nanettą.

— Co to znaczy, Maryanno? Opuszczasz mszę.

I nie dając jej czasu do uniewinnienia się, prawi dalej, że to niedobrze, że dyabeł na nią czyha, że napewno pójdzie do piekła, jeśli nie będzie się trzymała przepisów religii. Nareszcie Maryanna, odzyskawszy możność usprawiedliwienia się, powiada:

— Posłuchajcie, księże proboszczu, ja nie byłam w kościele z powodu mej dziewczynki... Bardzo chora. Dziś rano myślałam, że umrze. Dlatego nie wychodziłam z domu...

— Twoja córka, Katarzyna, chora?

— Tak, księże proboszczu, leży w łóżku... Niech dobrodziej popatrzy na nią.

Na olbrzymiem łóżku, w głębi ciemnej izby trzęsie się w febrze dzieweczka lat dziesięciu, z rozpaloną od gorączki twarzą, z zamkniętemi oczami. Małe, nikłe jej ciałko rzuca się pod kołdrą. Proboszcz, zbliżywszy się do łóżka, spogląda na nią w milczeniu przez chwilę, następnie zwolna mówi:

— Bóg was karze, Maryanno... Tak wyście go często obrażali, wyście często dawali zły przykład i prawica jego was dotyka.

Przy każdem słowie proboszcz kiwa podbródkiem, jak gdyby pochwalał niebo za jego zemstę. Katarzyna niezupełnie dobrze się prowadzi. W przeszły czwartek zmuszonym on był podczas lekcyi katechizmu wygnać ją z kościoła, gdyż śmiała się i niepokoiła inne dzieci. Właśnie w ten dzień lał straszny deszcz; dziewczynka nie śmiała wrócić do domu z obawy, iż ją będą łajać i przemokła na deszczu do szpiku.

— Pewnie się przeziębiła w czwartek — odpowiada matka—wróciła do domu w okropnym stanie.

— Bóg ją i was karze, Maryanno—powtarza proboszcz — czyż sądzicie, że Pan Bóg może być zadowolonym, gdy widzi że jakaś tam marna dziewczyna wyśmiewa go w własnym jego domu? Bądźcie przekonani, że żaden występek nie pozostaje bez kary.

Wysoka Nanetta się żegna, stary Roussel zabierający się za stołem do zupy, kiwa potwierdzająco głową. Tak! każdy występek podlega karze. Przeszłego kwietnia padał grad, bo mieszkańcy Saint-Maréchal rozgniewali Matkę Boską, przyniósłszy jej w dzień

Wniebowstąpienia nie tak piękne bukiety, jak przeszłego roku. Kobyła starego Piotra zdechła, bo stary zapomniał się przeżegnać, przechodząc mimo krzyża. Lecz ponieważ Rousselowie nie mogą sobie przypomnieć, czem mogliby Boga rozgniewać, więc mają nadzieję, że Bóg za wstawieniem się świętych aniołów zmiłuje się nad nimi. Zresztą jeśli za trzy dni dziewczynie nie będzie lepiej, poślą po doktora do Noriac, odległego o sześć mil. Nanetta wzrusza ramionami: według niej doktorzy—to zbyteczne zupełnie plemię. Jeśli niebo osądziło człowieka, to już chyba doktór go nie ocali, tembardziej, że doktór w Noriac bezbożnik i wszystkim wiadomo, iż dyabeł zjawia się u łoża człowieka, który przeszedł przez jego ręce i przyjmował jego lekarstwa.

— Wycierajcie jej co godzina skronie święconą wodą i trzykrotnie odmówcie „Pater“ i „Ave“ — powiada proboszcz, poczem klęka i pośpiesznie szepcze modlitwę. Roussel i Nanetta powtarzają wraz z nim: Amen! i zamaszyście się żegnają.

— Przejdzie —mówi proboszcz wychodząc. Trzeba koniecznie, aby ciało dziecka pozbyło się nieczystości... Odwiedzę was jutro.

Lecz, wchodząc nazajutrz do Rousselów, ksiądz Paintoux drży cały i zastygłym głosem oznajmia straszną rzecz, o której mu

dzwonnik doniósł. Malutka Kasia popełniła świętokradztwo. W czwartek, kiedy ją wygnali ze szkoły, poszła się bawić do zakrystyi i tam dzwonnik widział, jak zdjąwszy wianek z głowy Matki Boskiej gipsowej, włożyła go na siebie i przysiadła, zapewne by wyśmiewać Matkę Boską. Ksiadz nie mógł pojąć, jak niebo nie zabiło jej na miejscu uderzeniem pioruna. Lecz teraz już jest zgubioną, nie ulega wątpieniu. Choroba zstąpiła na nią z wysokości. Niech poślą, jeśli chcą po doktora, to tylko przyśpieszy śmierć.

— Wróciła bez suchej nitki na ciele — powtarza Maryanna—może gdyby jej dać na dobre poty...

— O! z nią kiepsko, bardzo kiepsko—szepcze stary Roussel, siedzący w kącie z opartemi na kolanach rękami.

Z biedną dziewczynką w samej rzeczy kiepsko: rozsypały się blond jej włoski, z usteczek gorący dech wieje, przez pół odemknięte powieki widać rozpalone i bezmyślne oczęta. Majaczy w malignie i wciąż powtarza: Och! boli! boli! Serce pęka na widok biednego dziecka, daremnie pasującego się ze śmiercią.

Tymczasem wiadomość o świętokradztwie obleciała całą wieś. Sąsiedzi zbiegają się, gdyż usłyszeli, że ksiądz proboszcz będzie

wypędzał dyabła z ciała maleńkiej Roussel. W izbie gromadzi się ze dwanaścioro ludzi. Wszyscy szepczą. Przypominają sobie rozmaite historye, wszystkim wiadome. Trzy lata temu inna dziewczynka ściągnęła kawałek święconego opłatka i przykłuła szpilką do drzewa; natychmiast drzewo poczęło jęczeć, z pnia polała się krew, kapiąc ze wszystkich gałązek kroplami. Nanetta przysięga i klnie się, iż sama to widziała dodając, iż w każdym razie siostra jej widziała napewno. Lecz druga historya sprawia jeszcze większe na obecnych wrażenie. Chłopaki z Saint-Nazar biegali w tłusty czwartek w papierowych maskach; w tym samym czasie przechodził ksiądz z sakramentem; jeden z chłopaków nie zdjął maski, która mu tak silnie przystała do twarzy, iż trzeba było ją oddzierać wraz ze skórą. Wobec takich przykładów nic dziwnego, jeśli Katarzyna umrze za to, że ośmieliła się włożyć na głowę wianek Matki Boskiej. Niepokój, połączony ze strachem, panuje w izbie. Choć słońce jasno świeci, mężczyźni jednak zaniepokojeni a kobiety oglądają się, czy za niemi nie widać pary koźlich nóg i rogów.

— To była taka łagodna, taka cicha dziewczynka — powiada stary Roussel. Chyba się jej wtedy w głowie przewróciło.

Wtedy proboszcz rozpoczyna swe modlitwy. Obchodzi łóżko i kropi je święconą wodą, robiąc na powietrzu znak krzyża. Kasia nie przestaje jęczeć. Rzuca się w malignie, załamuje ręce, na jej ustach pojawia się piana; to szepcze słowa bez związku, to śmieje się, to płacze. Nagle podnosi się na łóżku z otwartemi i rozpalonemi oczami, wołając ludzi, których niby widzi przed sobą, poczem znów pada, śpiewając wzruszającym głosem piosenkę dziecięcą: „Nous n'irons plus au bois, les lauriers sont coupés...“ Wszyscy obecni mężczyźni i kobiety, cofają się w głąb, oczekując z przerażeniem pojawienia się smoka z biednych, maleńkich usteczek. Nie można już wątpić, iż dyabeł w niej siedzi. Nie bez przyczyny ona tak podskakuje każdym razem, gdy kropla wody święconej na nią padnie. Napewno ją dyabeł zadusi.

U podnóża łóżka Maryanna płacze. Tylko jedno ma dziecko i nagle musi się go pozbyć, nie wiedząc nawet, w czem tkwi jego choroba. Jeszcze raz zaczyna ona mówić o doktorze, błagając męża, by pobiegł do Noriac. Lecz stary Roussel siedzi w kącie ciągle nieruchomy i martwy a zamiast odpowiedzi kiwa tylko przecząco głową. Przyjmuje on śmierć swego dziecka z pokorą starych chłopów ulegających wyższej i nieświadomej

sile. Pocóż wzywać doktora, jeśli ksiądz proboszcz powiada, że Pan Bóg chce wziąć dziecko do siebie? Ksiądz musi lepiej wiedzieć. Trzeba uledz, na każdego przyjdzie kolej a najlepiej dobrze się prowadzić. Nareszcie proboszcz przekonawszy się, że święcona woda męczy tylko niepotrzebnie dziecko bez żadnej korzyści, klaszcze zlekka w dłonie jak w kościele, gdy daje znak swej trzodzie, by przyklękła. Wszyscy natychmiast zginają kolana. On zaś stoi przez chwilę, poczem przemawia.

— Módlcie się za mną, proście o cud Pana.

Zgrubiałe jego oblicze jaśnieje. Wierzy i staje się olbrzymem, nie bacząc na zgięty grzbiet wieśniaczy. Bo w istocie to poczciwa dusza. Z dawnym seminarskim zapałem pada na kolana, błagając Boga, by zlitował się nad dzieckiem. Ze wszech stron daje się słyszeć szept modlitwy; przestraszone głosy proszą Boga o litość; w izbie unosi się zlodowaciałe tchnienie przesądu, przygnębienie ciemnoty wobec dramatu życia. Dziewczynka przebywa ostatnią kryzys; następnie chwilę leży bez ruchu, jak gdyby poczuła ulgę. Lecz nagle ustaje oddech... ruchy... umarła.

— Requiescat in pace — przemawia proboszcz podnosząc głos.

— Amen! — odpowiadają obecni.

I wszyscy się podnoszą, wszyscy się rozchodzą, wstrząśnięci tą sceną. Maryanna jęczy zasłoniwszy głowę chustką a stary Roussel, odurzały, nie wiedząc sam co czyni, wyjmuje nóż, by oderznąć sobie kawał chleba.

Na ulicy ksiądz Paintoux powtarza:

— Wszyscyśmy w ręku Boga, on postąpi z nami wedle spraw naszych. Widzicie to na przykładzie.

I cała wieś pochyla przed nim czoło, jako przed przedstawicielem strasznego Pana, który w każdej chwili może ukarać śmiercią. Dzieci obiecują, że się będą dobrze sprawowały podczas lekcyi katechizmu; mężczyźni podchodzą i starają się dowieść swej uległości. Właśnie w następną niedziele mają mieć miejsce wybory do rady municypalnej; chłopi otaczają kapłana i pytają go, za kim mają głos podać. Wtedy on powtarza im instrukcye, otrzymane poprzednio z dyecezyi. Gdyby dziś, po śmierci Katarzyny, rozkazał on swym parafianom, by wzięli się do broni i wyruszyli burzyć Paryż, parafianie wykonaliby to bezzwłocznie. Lecz nie ma on tak bujnej fantazyi i sam nie zrobi kroku bez rozkazu władzy. W następną niedzielę ani jeden mieszkaniec mszy nie

opuścił a kandydaci dyecezyi przechodzą jednogłośnie. Ksiądz Paintoux panuje w Saint-Maréchal jak Zastępy Pańskie a raczej jak stary drewniany bałwan, wyrąbany toporem i trzymający w swem ręku grom, błyskawice i różne niedole.

III.

KSIĄDZ GÉRARD.

U Robinota, w bogatej mieszczańskiej rodzinie, mały familijny obiadek. Wszystkiego cztery nakrycia: dla pana Robinot, dla pani Robinot, dla panny Klementyny ich córki i dla księdza Gérarda z miejscowej parafii.

— Księże proboszczu, jeśli łaska, jeszcze kawałek ryby— nalega pan Robinot— wszak ksiądz proboszcz lubi rybę, proszę więc nie odmawiać.

— Księże proboszczu — szepcze z drugiej strony pani Robinot — jeszcze kilka grzybków, bardzo proszę!... Proszę wziąć, ot to, z przyjaźni dla mnie.

Nawet służąca Franciszka, otwierając butelkę, szepcze proboszczowi na ucho:

— Może Chambertina ksiądz proboszcz każe sobie podać.

A ksiądz Gérard, promieniejąc, odpowiada na prawo, odpowiada na lewo, uprzejmie

i grzecznie; dziękuje nawet Franciszce, mrugnąwszy po przyjacielsku w jej stronę. Pieszczą go w rzeczy samej. Ale ryba doskonała a zjeść kilka grzybków zawsze on się chętnie zgodzi. Poczem, oparłszy się o grzbiet krzesła, z napół przymkniętemi oczami wychyla do dna kieliszek Chambertina. W jadalnym pokoju ciepło; obiad doskonały. Trudno wymyślić coś więcej delikatnego i przyjemnego, nad taki wieczór w szanownej rodzinie, która cię ubóstwia. Ksiądz Gérard ma lat pięćdziesiąt. Jest on otyły, lecz sam tak zabawnie śmieje się ze swego wielkiego brzucha, iż nikomu do głowy nieprzychodzi go tem drażnić. Szerokie jego, czerwone, delikatne oblicze świadczy o umysłowej równowadze, o szczęśliwym spokoju jego życia. Syn zamożnych mieszczan, został księdzem nie z zapału lub zamiłowania, lecz wskutek rachuby. W seminaryum był dobrym uczniem, posłusznym i uległym, którego wszyscy lubili. Nigdy nie niepokoił swych profesorów ani żywością, ani niepodległością swego umysłu; nawet ze skromności, czy wyrachowania, starał się nie objawiać rozumu. Mówili o nim, że to dobry chłopiec a on starannie tłumił ogień swych małych czarnych oczów, w których błyszczała chytrość. Jak tylko otrzymał święcenie, poczęły się nań zaraz sypać po-

wodzenia. Dostawały mu się najlepsze parafie, w końcu mianowano go proboszczem głównej parafii w Tours, gdzie i dotychczas żyje sobie jak pączek w maśle. Przyjaciele powiadają o nim, iż lada dzień zostanie biskupem. Wyższa władza wciąż go pcha naprzód, widząc w nim jeden z tych szczęśliwych, łaskawych, pobłażliwych charakterów, które więcej robią w naszych czasach dla relgii, niż apostolska ostrość i namiętność. Trudno rzeczywiście znaleźć człowieka bardziej dobrodusznego, robiącego dla świata możliwe ustępstwa, na które mu tylko godność pozwala a przytem umiejącego wszędzie się wcisnąć i uporczywie dobijać się wszystkiego, co tylko sprawy religii dotyczy.

Powodzenie ma on w Tours olbrzymie. Tours, jak i wiele innych prowincyonalnych miast, przedewszystkiem ceni swój mieszczański spokój, swe opasłe leniwe życie. Kobiety — po większej części dewotki, mężczyźni nigdy do kościoła nie chodzą. Ksiądz w takiem otoczeniu powinien być zręcznym dyplomatą, by utrzymać za sobą kobiety i nie rozgniewać mężczyzn. Jeżeli wprowadzi do rodziny niesnaski, wkrótce znajdzie się w niemożliwem położeniu. Ksiądz Gérard okazał się nadzwyczaj zręcznym człowiekiem i to bez żadnych usiłowań, gdyż

w usposobieniu jego leży umieć ze wszystkimi żyć w zgodzie. Przyjmują go we wszystkich rodzinach; spowiada żony i córki, gra w pikietę z mężami, wysłuchuje zwierzenia młodzieży. Panuje nad umysłami, lecz zawsze stara się przygasić blask chytrości błyszczący w jego oczach. Dewotki go uwielbiają; niedowiarki mówią o nim, że to bardzo przyjemny człowiek.

— No, jakżeż księdzu proboszczowi drób smakuje?—zapytał Robinot.

— Doskonały... Prosiłbym jeszcze troszkę sałaty.

Po deserze podają kawę i likiery. Pani Robinot i Klementyna opuszczają jadalny pokój. Ksiądz Gérard wypija odważnie mały kieliszek Chartreuse. Ponieważ jest sam na sam z Robinotem, wszczyna więc rozmowę o skandalu, który poruszył całe miasto. Pewna dama uciekła z młodym człowiekiem do Paryża.

— Prześliczna osoba — powiada ksiądz — wysoka, wysmukła, zęby jak perły...

— Zdaje się, że była penitenką księdza dobrodzieja—wtrąca Robinot.

Lecz ksiądz udaje, że nie dosłyszał. Następnie rozrzewnia się w ojcowskich uczuciach: biedna kobieta, będzie pewno bardzo nieszczęśliwa; gdyby go rodzina o to poprosiła, zgodziłby się odwiedzić ją w Paryżu

i próbowałby nawrócić na drogę cnoty; jest przekonany, że jemu by się to udało. Robinot tymczasem śmieje się i usiłuje wprowadzić w zakłopotanie księdza, który nakoniec wesoło wykrzykuje:

— No, dość o tem. Jesteś pan bezbożnikiem, chciałbyś mnie na czemś załapać... A chyba, mogłeś się już pan przekonać, że to ze mną nigdy się nie uda.

Robinot zwolennik Woltera, czytający demagogiczne gazety, ustawicznie drażni księdza. Często go on naprowadza na skandaliczne rozmowy, stara się go złapać na jakimś grzechu i ciągle wymyśla nowe żarty, by, go rozgniewać. Lecz ma do czynienia z silnym przeciwnikiem. Ksiądz nigdy się nie gniewa, na żarty odpowiada żartami, rozmawia o kobietach i innych rzeczach tonem człowieka, którego cielesne żądze nieniepokoją i któremu wielka czystość pozwala o wszystkiem mówić bez obawy. Zwykle lekkie te potyczki kończą się porażką Robinota.

W salonie czekają na nich pani Robinot i Klementyna. Ksiądz natychmiast usadawia się między niemi a Robinot wychodzi do ogródka wypalić cygaro. Zupełnie już innym łagodnym i przekonywającym głosem rozmawia proboszcz z damami o wielkiej procesyi, która ma mieć miejsce w na-

stępnym tygodniu. Jest on spowiednikiem matki i córki. Rozłożywszy się spokojnie na fotelu i kręcąc w ręku tabakierkę, opowiada, iż ceremonia będzie bardzo wzruszającą.

— Tak, wszystkie bractwa wezmą w niej udział. Słyszałem chorał, którego w obecnej chwili uczą się Siostry Sakramentki; nie sądzę, by można było usłyszeć coś piękniejszego... Panie wiecie, że jutro rano będziemy słyszeć kazanie ojca Euzebiusza o grzeszności kokieteryi.

— Pójdziemy rano do kościoła dla uniknięcia tłoku—powiada pani Robinot.

A zwróciwszy się ku Klementynie ciągnie dalej.

— Pokaż księdzu proboszczowi, jak daleko posunęła się twoja robota.

Klementyna przynosi stułę, którą wyszywa dla księdza. Na złotem tle mistyczne kwiaty czerwone i zielone. Pyszna robota. Ksiądz obsypuje pochwałami młodą panienkę, która rumieni się z radości. Następnie znów rozpoczyna gawędkę, rzucając to jednej, to drugiej słówko głosem cichym, spokojnym, jak gdyby je spowiadał. One zaś upajają się jego wyrazami i oddają mu się całą duszą. W tem Robinot, który wypalił już cygaro, krzyczy wchodząc:

— Nasz proboszcz zajmuje się tylko zawracaniem głowy kobietom.

Lecz proboszcz jest w swojem kółku, nie chce więc zrzec się odpowiedzi.

— Właśnie mówiliśmy o panu, panie Robinot — rzekł z lekkim uśmiechem. Mówiliśmy właśnie, że będziesz pan brał udział w procesyi, która odbędzie się we czwartek.

— Tego byłoby za wiele — bardzo dziękuję.

Proboszcz, milcząc, po przyjacielsku tylko grozi mu palcem. Zjawia się kilku dobrych znajomych, salon się zapełnia — prowincyonalny salon, do którego damy przychodzą ubrane po domowemu. Widzimy tu archiwistę hipoteki, starego oryginała, który nie cierpi jezuitów; grubego handlarza zbożowego republikańskich przekonań; sekretarza prefektury, przystojnego młodego człowieka, popisującego się sceptycyzmem paryskiej młodzieży. Wszyscy jednakże serdecznie ściskają księdza za rękę. Co się zaś tyczy dam, te na chwilę zatrzymują się przed nim w ekstazie. Czy zdrów? czy go nie męczy podagra? i jak się czuje po ataku u pani Letellier przy wstawaniu od stołu? Damy są bardzo zaniepokojone, gdyż znajdują, iż jest nieco blady. Lecz on uspokaja je. Zdrowie jego, dzięki Bogu, w jaknajlepszym stanie. I zasiada do pikiety

z archiwistą hipoteki, który nie cierpi jezuitów.

Potem rozmowa staje się ogólną. Ksiądz Gérard wtrąca od czasu do czasu słówko podczas gry, lecz starannie unika rozmowy o religii. Nie jest już w tej chwili księdzem i stara się być tylko przyjemnym gościem, zachowując szczególną łagodność mowy, właściwą jego stanowi. A gdy który z tych panów okazuje się na tyle źle wychowanym, iż wspomina o jego sutannie, to on uśmiecha się, nie odpowiada, jak gdyby nie życzył sobie przyjąć wyzwania. Całe miasto mówi jeszcze o skandalu, który zrobił inny ksiądz przeciwnego usposobienia, pokłóciwszy się w jednym domu z archiwistą hipoteki, który obwiniał jezuitów, iż dla przytępienia narodu propagują używanie tytoniu. Rozumie się, podobna historya nigdyby nie zmusiła księdza Gérarda do zapomnienia o prawidłach grzeczności; przeciwnie, samby się z niej śmiał, gdyż wymysły archiwisty hipoteki mają własność rozśmieszania go do łez. Kiedy się bywa w towarzystwie, należy ulegać jego wymaganiom i być pobłażliwym na drobnostki, szczególniej jeśli się jest pasterzem dusz. Ksiądz Gérard trzyma się zasady — znosić mężów i szukać pociechy w przywiązaniu żon.

Pomimo tego wszystkiego nie jest on w stanie zawsze unikać sporów. Gdy partya pikiety się skończyła, Robinot i gruby handlarz zboża odwodzą go na stronę i sprowadzają rozmowę na rolę, jaką gra religia w obecnem społeczeństwie.

— Mówiąc seryo, księże proboszczu—objaśnia Robinot — ja wcale nie jestem takim bezwarunkowym wrogiem religii, jak ksiądz może sądzi... Sam nie wypełniam obrządków kościoła, gdyż rozum mój nie znosi niektórych punktów wiary, które wypada albo w zupełności przyznać, albo w zupełności odrzucić. Gdybym wypełniał obrządki przy mojem usposobieniu umysłowem, musiałbym być hipokrytą a sądzę, iż lepiej już być niedowiarkiem... Czy nie mam racyi księże proboszczu?

Ksiądz nic nie odpowiada poprzestając na kiwnięciu głową.

— Prócz tego, nauczacie je ślicznych rzeczy: wypełniania małżeńskich obowiązków, łagodności, posłuszeństwa i grozicie im męczarniami piekła, jeśli się nie będą dobrze prowadziły. Wszystko to bardzo pożyteczne dla mężów. Ja wiem dobrze, iż wam wyrzucają, że zabieracie zanadto wielką władzę nad naszemi żonami i nieraz je nam odbijacie. Lecz to nie przeszkadza, iż w większej

części wypadków, religia podtrzymuje dobre obyczaje.

— Słowem, jesteśmy żandarmami waszego honoru — przerwał ksiądz Gérard z uśmiechem.

Sekretarz prefektury znów wpadł w zachwyt.

— Pysznie, pysznie — mruczał.

— No, co do mnie, to ja bym się chętnie obszedł bez tych żandarmów — zawołał handlarz zbożem. — Wybacz księże proboszczu. Jestem zanadto otwarty, lecz nie mam zamiaru pana obrażać. Gdyby moja żona rzadziej chodziła do kościoła, częściej siedziałaby w domu. Nie bardzo to pięknie wypełniać swe obowiązki z obawy piekła.

— Doprawdy, zachodzisz pan za daleko — rzekł Robinot — byle gospodarstwo nasze na tem nie cierpiało, to co nas reszta obchodzi.

— Jakto? co nas reszta obchodzi!... Czy sądzisz pan, że to zdrowo dla kobiety po całych godzinach klęczeć, słuchać śpiewu najrozmaitszych psalmów i wąchać zapach kadzidła? To działa na jej nerwy; gdy wraca z kościoła, najdziksze myśli kręcą się jej po głowie.

— Tak, lecz zato ona wraca z kościoła a nie z jakiego innego miejsca. To główne.

— A ja panu powiadam, że to bardzo źle.

— Nie mój przyjacielu, jesteś zanadto despotycznym.

Ksiądz ostrożnie odchodzi, zostawiając Robinota i handlarza zbożem, by się spierali sami, przyczem spierają się bardzo ostro. Wreszcie, gdy się uspokoili, ksiądz znów się do nich przybliża i mówi jak najdobroduszniej w świecie:

— Wiecie panowie co — należałoby wam wziąść udział w procesyi... O, tylko dla przykładu, dla moralnej policyi — jak nam dopiero co objaśnił pan Robinot.

Lecz oba wesoło odmawiają. Zanadtoby już było zabawnem pokazywać się na ulicy z woskową świecą w ręku, kiedy wszystkim znane są ich liberalne poglądy.

— Ja nie żądam, byście szli ze świecami w ręku — podchwytuje ksiądz Gérard również wesoło. Przyjdziecie sobie jak gdyby na spacer i znajdziecie się za baldachimem w dobrem towarzystwie, mogę wam ręczyć, gdyż wszystkie władze i cała arystokracya będą reprezentowane.

Obydwaj mieszczanie dalej się śmieją. Dziękują oni bardzo proboszczowi za zaproszenie, lecz doprawdy procesye przeciwne są ich zasadom. Nie mogą w nich uczestniczyć. Ksiądz Gérard, jako grzeczny człowiek, dalej nie nalega a ponieważ już wybiła dziesiąta godzina, więc się oddala. Wszyst-

kie damy towarzyszą mu do drzwi, szepczą i śledzą za nim wzruszonem spojrzeniem. Spokojnej nocy księże proboszczu, przyjemnych snów! Następnie pani Robinot, która zapomniała mu coś powiedzieć, leci za nim na schody i tam po cichu rozmawia przez dziesięć minut...

Następnego czwartku po za baldachimem w pierwszym rzędzie występują Robinot i handlarz zbożem. Bez wątpienia, ksiądz Gérard polecił pani Robinot przekonać swego męża. Robinot ustąpił rozumie się, tylko przez próżność mieszczańską: jemu przyjemnie bardzo wcisnąć się w wyższe towarzystwo miejskie. Zresztą ma on zamiar zachować swą niezależność i w następnych wyborach municypalnych poda głos przeciw kandydatom biskupa. Jeśli bierze udział w procesyi, to tylko dla tego, by nie uchodzić za człowieka źle wychowanego. Ale ksiądz Gérard, widząc go, uśmiecha się a w malutkich oczach jego błyszczy płomień tryumfu, gdyż może uważać się za rzeczywistego władzcę w Tours. Panuje on nietylko nad kobietami, które przechodzą ze złożonemi rękoma i spuszczonemi oczami; lecz rozprzestrzenia swą władzę i na mężów zwolenników Woltera, dla których religia w przyjacielskiem kółku jest przedmiotem ciągłych drwin. Zapewne, zanadto ma on

wiele rozumu, by przypuszczać, że zdoła ich nawrócić na drogę prawdy, lecz dla niego wystarcza, by choć pozornie dawali dowody swego szacunku dla religii. Gdy kościoły opróżnią się, ksiądz chciałby je choć czembądź zapełnić.

VI.

KSIĄDZ MICHELAINE.

W każdy piątek ksiądz Michelaine spowiada wielkie damy w kaplicy Dominikanów, eleganckim kościele, znajdującym się na jednej z uliczek przedmieścia Saint-Germain. Kościołek ten przypomina wielki salon urządzony z komfortem, wyperfumowany, gdzie światło łagodnieje, przechodząc przez kolorowe szyby. Damy uważają za oznakę dobrego tonu przychodzić tu się spowiadać w dali od tłumów grzeszników, zbierających się w ich parafialnym kościele. W ten sposób, jak gdyby oddzielają się od tłumu i zdaje im się, że Pan Bóg przygotowuje dla nich wyszukańsze przebaczenie. Sądzą, że mają swój własny domowy konfesyonał.

Ksiądz Michelaine jest to wysoki, przystojny mężczyzna, z czarnemi włosami, z białą cerą, który w obecnej chwili furorę robi w wielkim świecie. Zawdzięcza on swe

powodzenie przedewszystkiem wielkiemu taktowi w obejściu. Syn bogatego fabrykanta porcelany i kryształu na ulicy Du-Bac, urodzony w tejże części miasta, liczy teraz między swemi owieczkami hrabiny i markizy, matkom których ojciec jego dostarczał porcelany. Lecz to go nie wprowadziło w kłopot; dostrzegał on różnicę między szacunkiem osoby niżej postawionej i silną powagą księdza, która nadaje jego obejściu niezwykłą oryginalność. Najarystokratyczniejsze domy są nim zachwycone. Wdzięczny on im za to i z uśmiechniętą twarzą zręcznego człowieka, wykręca się z najdrażliwszych położeń.

O nauce jego nic nie wiadomo. Był, jak się zdaje, dobrze widziany w seminaryum gdyż miał stryja biskupa. Ograniczał się więc tylko na dobrem sprawowaniu. W rzeczywistości niezły to człowiek: postanowił sobie używać życia i stosować się do ludzi, by żyć bez kłopotów. Jeszcze dzieckiem będąc, marzył o złoconych salonach, które widywał tylko przez na pół odemknięte drzwi i nie mógł wymyślić lepszego środka dostania się do nich, jak odziać sutannę Ambicya jego, z początku dość umiarkowana, polega na tem, aby stanąć po nad swym mieszczańskim stanem i żyć w wyższem towarzystwie, zadawalającem jego upodoba-

nie w deliktnych obiadach, prześlicznych i gustownie ubranych kobietach, słowem we wszystkiem, co piękne. Religię uważał za kwiat wyższej cywilizacyi, piękną gazę, która powinna okrywać ludzkie zdrożności. Według jego mniemania, grzeczne towarzystwo nie może obejść się bez religii.

W ten piątek, ksiądz Michelaine oczekuje u konfesyonału młodej hrabiny de Marisy, prześlicznej dwudziestodwuletniej blondynki, o piękności której gazety nawet głoszą. Kieruje ona modą, bierze udział we wszystkich uroczystościach, konie jej znane w lasku bulońskim. Dwa lata już zamężna a ksiądz Michelaine stał się przyjacielem jej domu, zabawiwszy dwa tygodnie w zamku Plessy-Rouge w Normandyi, należącym do jej męża. W istocie ksiądz Michelaine tak jest przystojnym, z takim wdziękiem nosi sutannę, że może być ozdobą każdego salonu.

Hrabina na kolanach, oczekuje swej kolei. Prześliczny podbródek wsparła o złożone rączki i rozmyśla, wpatrując się w różowy promień, przechodzący przez zafarbowane szkło. Prędko przebrała w myśli swe grzechy; wie tylko o jednym wielkim i rozmyśla, w jakich by go słowach księdzu wypowiedzieć. Na chwilę przechodzi jej przez

głowę myśl pokrycia grzechu tego milczeniem, gdyż dość trudno się do niego przyznać, lecz właśnie ta trudność ją nęci. Wielką czuję chęć opowiedzieć wysokiemu przystojnemu spowiednikowi, jak to ona — niestety! — przeniewierzyła się małżeńskim swym obowiązkom dla markiza de Valereuse, dalekiego jej kuzyna, którego kochała jeszcze przed ślubem.

Nareszcie przychodzi na nią kolej. Hrabina powstaje i zbliża się do konfesyonału z ledwie widocznym uśmiechem, zdobiącym zachwycająco wyraz głębokiej skruchy, który uważała za stosowne nadać swej twarzyczce. Już wymyśliła zapewne, w jakich wyrażeniach łatwiej jej będzie zrobić wyznanie. Przyklęka powoli i przepędza pół godziny u kratki. Słychać tylko jednostajny szept, ani jednego głośnego słowa; cały namiętny dramat wysnuwa się w półcieniu między tą szepczącą dwudziestodwuletnią kobietą i trzydziestoletnim księdzem, który jej słucha. Gdy następnie, z pochyloną głową opuszcza konfesyonał, na różowej jej twarzyczce nic nie można wyczytać, tylko nad ustami wciąż jeszcze igra słaby, nieokreślony uśmiech, od którego na policzkach utworzyły się dwa dołeczki.

W poniedziałki mężczyźni przychodzą do kaplicy Dominikanów spowiadać się u księ-

dzi Michelaine'a. W następny poniedziałek markiz Valereuse oczekuje swej kolei na tem samem miejscu, na którem w piątek klęczała hrabina. Markiz — niski, chudy młodzieniec, wygląda cierpiąco, ale pomimo to przystojny. Zdołał się już wsławić burzliwie przepędzoną młodością; przyjmuje udział w wyścigach, miał pojedynek, o którym mówiono przez trzy dni. Jednak, przy rozpustnem swem życiu, nigdy nie przestawał wypełniać obowiązków kościoła, w tem przekonaniu, że religijność należy do obowiązków jego rodu. Przeniewierstwo kościołowi wydaje mu się czemś mieszczańskiem i tak daleki jest od myśli zaniedbania obowiązków gorliwego katolika, jak od myśli porzucenia tytułu markiza. Spowiada się dwa razy na miesiąc, w wielkie święta przyjmuje komunię, słowem — robi wszystko, co potrzeba, by nie sprzeciwić się tradycyom rodu. Wszystko to zresztą, niema żadnego znaczenia.

Klęczy on i podobnie jak hrabina rozmyśla, śledząc za różowym promieniem, padającym przez zabarwione szkło. Pyta siebie: czy rozsądnem będzie przyznać się księdzu do związku z hrabiną de Marisy. Bez wątpienia tajemnica spowiedzi jest bezwarunkową, lecz ksiądz może pomimo woli spojrzeniem zdradzić ich tajemnicę mężowi;

przy tem zawsze nieprzyjemnie jest drugiemu mężczyźnie powierzać imię swej kochanki. Markiz decyduje się więc na kompromis; przyzna się do grzechu, lecz nie nazwie imienia i uspokojony tem postanowieniem pośpiesznie pada na kolana u konfesyonału.

Spowiedź mężczyzn bywa krótszą od spowiedzi kobiet. Nie jest im tak przyjemnie opowiadać o swych grzechach i odkrywać tajniki swego serca. W ciągu pięciu minut markiz zrzucił brzemię swych grzechów, lecz przy odejściu od konfesyonału wydaje się rozdrażnionym. Ksiądz nie dał mu skończyć i powiedział, iż źle bardzo z jego strony nadużywać zaufania uczciwego człowieka, w domu którego jest przyjmowanym jako dawny przyjaciel. Wreszcie wymienił hrabiego i dał poznać, że cała historya jest mu dokładnie wiadomą. Niech dyabli porwą kobiety! Nie potrafią się oni spowiadać, nie wypowiedziawszy wszystkiego do końca i nie ubarwiwszy prawdy. Widocznie hrabina wszystko wygadała. I markiz jeszcze przez minutę klęczy w kościele zaniepokojony i zapytuje się, czy to nie doprowadzi do zerwania z hrabiną, którą on ubóstwia. Jednak ostatecznie uspakaja się myślą, iż ksiądz Michelaine za nadto zręczny człowiek, aby się wtrącać w nieswoje rzeczy.

We wtorek ksiądz obiaduje u hr. de Marisy; są to przyjacielskie obiady, na które zaprasza się tylko kilku przyjaciół. Na drugi dzień a więc po spowiedzi młodego markiza, ksiądz Michelaine siedzi w malutkim salonie pałacu de Marisy, w towarzystwie hrabiny i dwóch starych dam. Markiz, jak gdyby naumyślnie, także znajduje się w liczbie zaproszonych na ten dzień. Wchodzi on z uśmiechem, wita się z hrabiną i podaje rękę księdzu ze swobodą człowieka, którego najdrażliwsze położenie nie jest w stanie zakłopotać. Bije siódma godzina a hrabiego jeszcze niema. Hrabina, by go wytłómaczyć mówi o jego ważnych i licznych zajęciach. Wszyscy potakują, chociaż dokładnie wiedzą, że hrabia niema żadnych zajęć, prócz tych, które sam na siebie nakłada w towawarzystwie najpiękniejszych aktorek bulwarowych teatrów. Człowiek rzadkiego niedołęstwa, hrabia nawet przez przyjaciół swych uważanym jest za niezdolnego do politycznej działalności. Trwoni ogromny majątek najgłupiej w świecie, uganiając się za kokotkami w brylantach i znajdując szczególniej ponętnemi piękne kobietki, ubrane jak księżne a ordynarne jak przekupki. Opowiadają o niemożebnych wybrykach, których on dopuszczał się dla jednej dziewczyny, zwerbowanej z ulicy, która biła go i wy-

ganiała za drzwi w nocy, by przyjąć u siebie jego lokaja. Ma on lat pięćdziesiąt twarz jego biała i zniszczona, wejrzenie ponure, głowa łysa, nadające mu wygląd męża stanu, który przedwcześnie posiwiał pod ciężarem spraw państwa.

— Hrabiego zapewne zatrzymała ministeryalna kryzys, którą obecnie przeżywamy— powiada ksiądz Michelaine.—Zapewne chciano się go poradzić.

— Pewnie—-bąknął markiz z lekkim uśmiechem, spoglądając na hrabinę.

A hrabina bawi się flakonikiem i wcale nie jest, jak się zdaje zakłopotaną. Ksiądz chciał tylko pokazać, iż jest człowiekiem dobrze wychowanym, gdyż ,wie dokładnie, gdzie się hrabia zasiedział. Zna on nawet małą Biankę z Bouffes, której de Marisy niedawno dom podarował. Owa „Bianka“ urodziła się w Bordeaux i przyjęła tylk. włoskie imię. Zrujnuje hrabiego w jakie trzy miesiące, jeśli przed tem nie wypędzio Ksiądz widział ją raz w „lasku“. Śliczne stworzenie, niema co mówić! I ksiądz Michelaine, myśląc o niej, głośno powtarza:

— Niewątpliwie, hrabia w ministeryum.

Wreście zjawia się de Marisy. Przeprosił towarzystwo, skarżył się na zajęcia, poczem wszyscy przeszli do jadalnego pokoju. Po prawej ręce hrabiny siedzi markiz, po

lewej ksiądz Michelaine. Hrabia usadowił się naprzeciw między dwiema staruszkami. Prócz nich jeszcze czterech zaproszonych, wszystkich dziesięciu. Obiad doskonały. Usługa szybka i milcząca, jak najlepszy ton wymaga. Goście za stołem rozmawiają szeptem. Lecz oto stary jakiś jegomość przy drugiej potrawie głośno zapytuje hrabiego:

— No, cóż? Jakie też będziemy mieli ministeryum?

Hrabia, jeszcze bledszy niż zwykle, czemś jakby zaniepokojony, roztargniony, nie słyszy pytania, które gość jego zmuszony jest powtórzyć. Nakoniec przebąkiwa:

— Ach! jeszcze niewiadomo! Stan rzeczy krytyczny, bardzo, bardzo krytyczny... Nigdyśmy nie przeżywali tak krytycznego momentu.

Obie staruszki widocznie przerażone—kilka głosów wykrzykuje:

— O! w samej rzeczy!

Ponieważ wszyscy oczekują, co hrabia powie, wypada mu więc wypowiedzieć parę frazesów, co też i wypełnia z ogromnemi trudnościami:

— Tak wszystkiego można się obawiać... Nastąpił rozstrój... No, zresztą, może się to da jakoś załagodzić!

A tymczasem ksiądz Michelaine, spoglądając na niego, myśli sobie: pewnie go mała Bianka wygnała. Zapewne o tym rozstroju on mówi. W tejże samej chwili słyszy jak hrabina i markiz szeptem przemawiają słów kilka:

— Dlaczegoś wczoraj nie przyjechała?

— Nie mogłam oddalić się z domu!

— Czekałem na ciebie dzień cały... Ach! Loro! ty mnie już nie kochasz.

— Ciszej!... Jutro będę tam o drugiej.

Hrabina zauważyła, że ksiądz ich podsłuchuje, lecz to ją bynajmniej nie kłopocze. Wszak to powiernik ich tajemnicy — powinien być pobłażliwym na słabości ludzkie. Potem nadzwyczaj uprzejmie przemawia:

— Wszak ksiądz proboszcz lubi zwierzynę... Janie podaj jeszcze zwierzyny księdzu proboszczowi.

Ksiądz postępuje bardzo taktownie. Ma on zamiar, co prawda, palnąć ostrą nauczkę hrabinie u konfesyonału, gdyż na to ona zasługuje. Lecz tutaj, w jadalnym pokoju, w jej domu jest tylko gościem i za nadto dobrze wychowanym człowiekiem, by stroić poważną minę. Obiad idzie swoim porządkiem: ksiądz słyszy obok siebie szept wiarołomnej żony i widzi przed sobą smutną fizyognomię hrabiego, pod oczami którego dopiero co zauważył dwa zadraśnięcia, jak

gdyby od kocich pazurów. Wina doskonałe, w jadalnym pokoju czuć świeży zapach owoców, obiad kończy się wspaniale.

— W środę, wszak prawda, ksiądz proboszcz będzie miał kazanie w kościele Św. Klotyldy? — zapytuje podczas deseru jedna ze staruszek.

— Tak, łaskawa pani... Będę miał kazanie na korzyść dobroczynnej instytucyi Św. Maryi.

I wszyscy rozprawiają o tej instytucyi, celem której jest dawać przytułek sierotom, by je od zguby zachować. Hrabina jest jedną z opiekunek; imię hrabiego znajduje się na liście założycieli. Wszyscy goście wynoszą pod niebiosy zasługi instytucyi.

— Robimy co możemy powiada pani de Marisy. Ileż to biednych dziewcząt ginie tylko dla tego, że im brak relijnego wychowania. Jeśli tylko kobieta poznała Boga i umie się modlić, jest już zabezpieczoną od wszelkich pokus i nie wykroczy przeciw swym obowiązkom... O! to wielka dla nas radość, że możemy zbawić od występku ofiary, tak godne zajęcia się niemi!

Markiz z zapałem potwierdza słowa hrabiny. Bez religii moralność jest niemożebną. Kilka dni temu odwiedził on wychowanice ochrony św. Maryi. Zauważył tam malutką blondynkę, prawdziwego anioła, z wielkie-

mi modremi oczami, niebiańskiej łagodności. Hrabia przysłuchuje się temu opisowi; mętny wzrok jego ożywia się a obwisła dolna warga pomimo woli nastraja się do uśmiechu. Potem nagle pali on następującą głośną tyradę:

— W tych dniach mówiłem dwom senatorom, przyjaciołom moim: podnieście religię, przymuście naród, by ugiął kolano w kościołach, jeśli chcecie podnieść moralny poziom mas... Zgodzili się ze mną. Mają zamiar wnieść prawo o zachowywaniu dni świątecznych... W smutnym czasie który obecnie przeżywamy, trzeba koniecznie, by wszyscy katolicy surowo przestrzegali obrządków kościoła dla przykładu. Drogą wiary ocalimy społeczeństwo od bezeceństw, w których jest ono pogrążone... Będziemy dawali przykład, panowie, będziemy dawali przykład...

I zmęczony wysiłkiem, którego ta mała mówka potrzebowała, hrabia bierze kapelusz i pocichutku ulatnia się właśnie w tej chwili, kiedy wstają od stołu. Zajęcia—tak tyranizują! Ksiądz Michelaine, który zauważył tę ucieczkę, przechodzi do salonu, myśląc sobie, że zapewne hrabia poleciał pogodzić się z malutką Bianką. Przechodzi wieczór. Obie staruszki pierwsze wyjeżdżają—inni goście za niemi. Nareszcie ksiądz

i markiz zostają sami z hrabiną. Hrabina siedzi po lewej stronie kominka, markiz po prawej, ksiądz w środku kominka. Wszyscy rozprawiają o wielkiej zabawie na cel dobroczynny, która ma mieć miejsce następnego tygodnia. Rozmowa się przerywa, podtrzymywana tylko monosylabami. Ksiądz dokładnie pojmuje, iż obecnością swoją ścieśnia kochanków; lecz tym razem jest on tyle źle wychowanym, iż narzuca im swe towarzystwo, by dopilnować obowiązków. Nie napomykając o niczem, postanawia jednak bezwarunkowo odejść po markizie. Mija pół godziny. Położenie księdza staje się coraz trudniejsze. Hrabina daje mu jasno do zrozumienia, iż czas już, by się wyniósł. Nareszcie światowy człowiek otrzymuje przewagę nad księdzem; proboszcz odchodzi i żegna się. Wtedy pani de Marisy i markiz dają dowody niezwykłej uprzejmości i krzyczą mu, gdy już jest u drzwi:

— Do widzenia, panie Michelaine, przyjdziemy cię w środę posłuchać.

W następną środę kościół św. Klotyldy, ów elegancki kościół, wyglądający na buduar wielkiej damy, przepełniony jest kwiatami i cały obciągnięty czerwonym aksamitem. Ksiądz Michelaine jest na kazalnicy i tak zachwycająco mówi kazanie, iż szmer uwielbienia unosi się nad tłumem modlących

się. Za temat wziął „piękność niewinności“ drażliwy temat, nad którym rozwodzi się w jak najwyszukańszych i najwięcej eleganckich wyrażeniach. W pierwszym rzędzie publiczności widać hrabiego i hrabinę de Marisy a także i markiza de Valereuse. Z uśmiechem zamienili między sobą ukłon. Od czasu do czasu markiz miłośnie spogląda na hrabinę. W czasie mszy po kazaniu zginają oni kolana i dają dowody niezwykłej nabożności; ostatni wychodzą z kościoła, który jaśnieje i rozlewa słodkawy aromat.

Ksiądz Michelaine na kazalnicy może być dumnym, że zamienił magazyn z porcelaną swego ojca na miejsce, z którego przy ołtarzu panuje nad głowami wszystkich tych poważnych panów i dam wysokiego rodu, korzących się w prochu. Jedna tylko myśl miarkuje jego dumę; wie aż nadto dobrze, jak mało ma istotnego wpływu na te panie, wie, że religia jest dla nich prostą formalnością i mówi sobie, że jaśli ich złożone ręce i nabożne pozy świadczą o ich szacunku dla niego, to dusze właściwie do niego nie należą i oszukują Boga tak, jak oszukują mężów.

II.

JEGO PRZEWIELEBNOŚĆ.

Jego przewielebność w swoim gabinecie, w pałacu biskupim. Nie przyjmuje dziś interesantów, bo jest bardzo zajęty. Ksiądz Raymond, jego sekretarz, młody dwudziestodwuletni człowiek, razem z nim pracuje przy wielkiem palisandrowem biurku, za którem biskup pisze artykuł, dużym, wyrazistym charakterem.

— Słuchajno, Raymond — powiada on nie podnosząc głowy — weź tę paczkę odbitek i popraw je... Jest to artykuł do dziennika „Religia“. Trzeba go natychmiast odesłać do Paryża, gdyż jutro powinien być wydrukowany.

I pisze dalej. Wydaje on broszurę odpowiadającą na materyalistyczne teorye pewnego filozofa, z którym już przeszło dziesięć lat prowadzi systematyczną wojnę. Każdego roku czuje chęć zwalczenia dzieł swego przeciwnika. Pisze pięknym językiem, w któ-

rym przebija się dokładna znajomość Biblii, lecz zbyt często używa klątew i pisałby daleko lepiej, gdyby nie szpikował swych utworów kuchenną łaciną. Kiedy zapomina o Panu Bogu i Piśmie Świętem, co mu się często zdarza, staje się prawie znakomitym pisarzem.

— Raymond — przemawia po długiem milczeniu biskup — znajdź mi w dykcyonarzu medycznym słowo „névrose“... Dobrze podaj mi go.

Kładzie pióro i pogrąża się w grubej księdze. Przeczytuje artykuł o „nevrose“, zajmujący kilka stron. Następnie przechodzi do innych słów i poświęca dobre pół godziny tym specyalnym studyom. W broszurze swej traktuje on o wiarogodności niektórych cudów i jako śmiały pamflecista, stara się dowieść, że choroby nerwowe, nawet według teoryj samych uczonych, nie byłyby w stanie wywołać zjawisk, które potwierdzają świadkowie. Gdy już sądził, że znalazł żądane argumenty, zamyka książkę i znów bierze się do pisania broszury. Gęsie pióro, prawdziwy oręż w jego rębaczej prawicy, bieży po papierze z regularnym i suchym skrzypem. Ani jeden dźwięk prócz tego skrzypu uszu jego nie dochodzi, miasto bowiem śpi bogobojnym snem prowincyi.

Jego przewielebność — wysoki sześćdziesięcioletni starzec, bardzo chudy, z czołem zbrużdżonem przez zmarszczki, któremu duży cienki nos nadaje charakter nieugiętej woli. Oczy szare, usta blade, wązkie. Piękna, długa ręka świadczy o arystokratycznem pochodzeniu. I w samej rzeczy, ze strony matki należy on do starego rodu w Auvergne; lecz ojciec jego, syn chłopa, który zbogacił się na handlu, dał mu imię plebejuszowskie, które syn zresztą nosi z pewną dumą, gdyż je otoczył wielką sławą. Cała siła jego zdaje się pochodzić z odświeżenia starego rodu matki świeżą krwią ojca. Od matki przejął on niepomierną dumę i wiarę w starodawne tradycye Francyi, od ojca — energię nowego pokolenia. Ma on chłopskie pięście uszlachetnionej formy i używa ich by służyć uprzywilejowanej klasie.

Jego przewielebność wstąpił do stanu duchownego w późnym wieku. Był pierwiastkowo kapitanem dragonów. Gdy miał trzydzieści sześć lat, znudziła mu się niezadowalniająca go służba wojskowa. Wielkich wojen wtedy nie prowadzono, pędził więc garnizonowe życie, którego bezczynność go zabijała. Kto chce w naszym wieku walczyć, powinien wziąść raczej krzyż, niż miecz do ręki. A kościół przedstawia dla ambicyi nadzwyczaj szerokie pole. I tak po

wyjściu z pułku, Jego Przewielebność zajął się z olbrzymim zapałem naukami teologicznemi. Po kilku latach stał się jednym z najwybitniejszych doktorów teologii; od tej chwili rozpoczął walkę z duchem naszego wieku, którą z każdym rokiem prowadzi zacięciej, przyczem starość wcale nie ochładza jego zapału. Prędko doszedł do wyższych godności kościoła. Odrazu poznano w nim potężnego atletę, którego na czele wszystkich innych postawić należy. Jest już lat dziesięć biskupem a ma nadzieje zostać kardynałem przy pierwszym wakansie. Co prawda, oczekuje czerwonego kapelusza z gorączkową niecierpliwością; nie jest bowiem wolnym od słabostki przydawania ogromnego znaczenia czerwonemu kapeluszowi, o którym zaczął marzyć, jak tylko został kapłanem.

Zresztą, biskup nie zawiódł oczekiwań osób, które tak prędko go wyniosły do kościelnych dostojeństw. Dawno już nie widziano prałata straszniejszego dla wrogów kościoła. Były kapitan dragonów, jak się zdaje, ciągle sądzi, że jest na polu bitwy i ogłusza przeciwników uderzeniami pastorału, wojuje w dziennikach, wojuje broszurami, używa wszelkiej broni, nawet najwięcej światowej. Trzeba go widzieć w dyecezyi, gdzie wszystko drży przed nim. Zawojował

cały departament. Wydaje regularne bitwy władzom cywilnym, prowadzi trzymiesięczne kampanie, aby tylko uzyskać oddalenie urzędnika, który mu nie przypada do smaku. Tym sposobem religia jest dla niego areną, na której druzgocze wszystkich, nie uginających się przed jego władzą. W imieniu nieba żąda, aby ksiądz panował na ziemi a niebo w jego ustach — to zastępujący wszelką odpowiedź postrach, przed którym narody winny padać na kolana, drżeć, czuć pokorę i ujarzmienie.

W jego gabinecie wisi Chrystus ze słoniowej kości na krzyżu z czarnego drzawa. Rzadko Jego Przewielebność zgina przed nim kolano; gdy przechodzi koło niego, prędko się tylko żegna. Lecz jeśli ktoś buntuje się, wyciąga on natychmiast rękę ku Chrystusowi, jak gdyby wzywał siły zbrojnej. Bóg zastępuje u niego miejsce niczem niezbitego argumentu.

Tymczasem ksiądz Raymond poprawił korektę artykułu, przeznaczonego dla pisma „Religia“. Jego Przewielebność, położywszy nareszcie pióro, przegląda artykuł. Wydaje mu się on zbyt bladym, nachmurza więc brwi; poczem kładzie go w kopertę, pieczętuję, dzwoni i poleca natychmiast posłać na pocztę.

— Powiedz mi, Raymondzie—zapytuje po-

krótkim namyśle — jaki tytuł więcej ci się pogoba: „Zawstydzony Judasz“, czy „Otumaniona Nauka“?

I nie zostawiając sekretarzowi czasu do odpowiedzi, sam rozwiązuje pytanie i kładzie na leżącym przed nim rękopisie wielkiemi literami nagłówek: „Zawstydzony Judasz“. Poczem znowu dzwoni i posyła rękopis do drukarni, krzycząc, żeby się spieszyli.

— Z przeproszeniem Jego Przewielebności — powiada służący — kilka osób pragnie koniecznie widzieć się z Jego Przewielebnośią.

— Niech poczekają. Jeśli można będzie, przyjmę ich przed śniadaniem... Ach! gdyby przyjechał markiz de Cerneuve, przyjąć go natychmiast.

Biskup wstał i przeszedł się po gabinecie, potem znowu usiadł mówiąc:

— Raymond, podaj mi listy. Pomóż mi je rozpieczętować.

Sekretarz bierze ogromną pakę listów, jeden za drugim rozcina scyzorykiem i oddaje biskupowi, który bystrem spojrzeniem przegląda ich treść. Chce on wszystko sam przeczytać. Po przeczytaniu rozdziela listy, gniecie i rzuca na dywan te, które uważa za nieważne i kładzie w jedno miejsce pozostałe. W obszernej tej korespondencyi jest wszystkiego po trosze: prośby o wspar-

cie, listy w sprawach dyecezyi, listy, które nadeszły z czterech końców Francyi i z zagranicy w interesie propagandy. Chwilami biskup zagłębia się w splątane kombinacye męża stanu, który obmyśla jakiś wielki plan zaborczy. Nici intryg klerykalnych całego świata schodzą się w gabinecie Jego Przewielebności. Tam rozwiązują się ważne pytania: międzynarodowej wojny lub pokoju, wewnętrznej polityki, której stałą dewizą jest zbawienie Francyi. Biskup w chwili rozpieczętowywania tej korespondencyi podobny jest do ministra, w rękach którego jednoczyłaby się cała władza i wpływ którego roztaczałby się na świat cały.

Lecz tego poranku główna kwestya nie tyczy się, na szczęście, przewrotu europejskiego. Rzecz cała zawiera się w tem, kto weźmie górę: biskup czy prefekt w pewnej kwestyi wychowania. Prefekt, który nie będąc republikaninem, uważany jest za liberała, urządził przed pół rokiem świecką szkołę w Verneuil, głównem mieście jednego z okręgów departamentu. Tymczasem biskup poprzysiągł sobie, że zamieni tę szkołę na inną, którą będą utrzymywać bracia „Chrześciańskiej Nauki“. Walka trwa już półroku. Prefekt uparł się, biskup także. W korespondencyi jest więcej niż dwadzieścia pism w tej sprawie.

— Markiz de Courneuve! — melduje służący. Biskup podnosi się i idzie na spotkanie wchodzącego.

— No cóż? — zapytuje z trwogą.

— A to, że wracam wprost z Paryża, — odpowiada markiz. Widziałem ministra, lecz nie chciałem mu mówić wprost o naszej sprawie... Ksiądz biskup pojmuje, że jeśli my weźmiemy górę, prefekt będzie musiał podać się do dymisyi a to nadzwyczaj wikła całą sprawę.

— Lecz na czemże stanęło?

— Nie mogłem się doczekać ostatecznej odpowiedzi i poleciłem działanie mej synowej. Przyrzekła nam donieść, gdy już wszystko będzie załatwione.

Biskup okazuje oznaki niecierpliwości. Należało mu samemu pojechać do Paryża i poruszyć wszystkie sprężyny, aby uzyskać zamknięcie szkoły w Verneuil. Wszakże w tej szkole Bóg wie co się dzieje.

— Słuchajno pan — mówi on do markiza — przeczytaj te listy... Dzieciom dają czytać książki szydzące z religii... Zawiadamiają mnie, że siostra jednego z nauczycieli żyła przed ślubem z mężczyzną, za którego wyszła za mąż... Zapewniają mnie, że podczas ostatnich wyborów municypalnych, ten nauczyciel był członkiem demagogicznego komitetu... Czyż wszystkiego tego mało?...

Następnie uderza na prefekta. Historya ze szkołą — to doskonały pozór, aby wybawić departament od urzędnika pozbawionego religii. Wojna między prefekturą a biskupstwem nie może się skończyć inaczej a biskup ani na chwilę nie może przypuścić, aby prefektura miała zwyciężyć. Dopiero co otrzymał listy od wielu ważnych osobistości w mieście, od szczerze nabożnych parafian, którzy wspólnie z nim działają. Przeczytał te listy markizowi. Pani de Saint-Luc, brat której jest deputowanym, daje do zrozumienia w liście, iż brat udzielił jej doskonałych nowin: Baudouin, notaryusz, człowiek bardzo wpływowy, twierdzi, że całe wyższe towarzystwo trzyma stronę biskupa. Pani de Mortal przytacza następujące słowa prefekta: „Klerykalizm—to rana toczącą departament“,—nieostrożne słowa, z których można będzie skorzystać w wyższych sferach. Nareszcie prefekt zdaje się być blizkim upadku, trzeba tylko ostatniego uderzenia — a biskup podburzył już cały swój personel. Dzięki Bogu! biskup wszystko może. Trzeciego już prefekta obala w ciągu dwóch lat.

W tej chwili służący przychodzi oznajmić biskupowi, że ksiądz z Ville-verte, zgrzybiały staruszek, przyszedł pieszo ze swej parafii, aby podać mu prośbę.

— Nie mogę go przyjąć, niech poczeka!— krzyczy prałat.

Lecz drzwi otworzyły się i ksiądz wszedł. Jest to ubogi wiejski proboszcz, w wytartej sutannie, w grubych zapylonych butach.

Z pokorą podchodzi do biskupa i mówi drżącym głosem.

— Wasza Przewielebność, nie śmiałbym go niepokoić, gdyby sprawa tyczyła się mnie tylko. Lecz to jest sprawa Boża... Kościół nasz w Ville-verte tak stary, że ostatnie burze przedziurawiły dach. Szyby w oknach wybite, drzwi się nie zamykają, tak że deszcz przenika do domu Bożego, parafianie przemakają do nitki. Niedawno trzeba było roztworzyć parasol nad ołtarzem, aby dary boże nie przemokły. Litość bierze patrząc na to, Wasza Przewielebność...

— No, więc cóż? urządzajcie się, jak umiecie — odpowiada prałat, którego znudziło długie objaśnienie staruszka. Cóż ja tu pomogę?

— Jedno słowo Waszej Przewielebności wystarczy a kościół poprawią. Ksiądz biskup wszystko może.

— Wcale nie, mylisz się jegomość; tu trzeba wypełnić wiele formalności... Trzeba podać prośbę: komisya obejrzy uszkodzenia i sprawa pójdzie swoją koleją.

Biskup wstał, skierował się ku drzwiom, by wyprowadzić staruszka, Temn łzy stanęły w oczach. Nie przestaje nalegać.

— Wasza Przewielebność, błagam nie dla siebie, lecz dla Pana Boga... Nie zechciej dopuścić takiego bezeceństwa w świątyni pańskiej. To wszakże świętokradztwo... Od Waszej Przewielebności wszystko zależy; każ wydać mi pięćset franków niezbędnych dla podszycia łat... Parafianie moi będą błogosławić imię twoje.

Biskup stracił cierpliwość.

— Nic nie mogę dla was zrobić, powiadam. Dajcie mi święty pokój! Wszak widzicie, że jestem zajęty. Proszę napisać a ja polecę, by prośbę rozpatrzono.

Stary kapitan dragonów w nim się odezwał. Bąknął przez zęby:

— A do tego czasu Pan Bóg chyba się nie roztopi.

Stary ksiądz, wychodzi z pokoju oszołomiony, cofając się tyłem i kłaniając do ziemi. Prosi o przebaczenie a głowa mu drży od starości. Wróci on teraz piechotą do swej wioski, z zabijającą myślą, że w jego kościele deszcz będzie lał całą zimę.

Tymczasem biskup zburczał lokaja, że pierwszego lepszego przychodnia do niego wpuszcza.

Głęboko rozdrażniony, gdy nagle podają mu list.

— Charakter mojej synowej!—wykrzykuje pan de Courneuve, spojrzawszy na kopertę Co za tryumf!

Biskup zachwycony, podchodzi do okna i czyta pismo z twarzą zaczerwienioną od radości. Wspomniona dama go zawiadamia, że widziała się z ministrem i że świecka szkoła w Verneuil będzie zamkniętą. Dodaje między innemi, że prefekt podał się do dymisyi. Biskup zwyciężył. Religia może się chlubić z jeszcze jednego zwycięztwa.

— Raymond, mówi biskup do sekretarza, będę jadł śniadanie z markizem... Zajdź do drukarni i powiedz, że chcę mieć korektę mego artykułu nie później jak jutro rano. Weźmiemy się do niej oba. I w chwili, gdy kieruje się ku drzwiom, wzrok jego przypadkowo pada na wielki krucyfiks ze słoniowej kości. O mało co nie zapomniał podzielić się z nim swojem zwycięztwem, więc też spiesznie go pozdrawia a obracając się do markiza, wykrzykuje z wesołą miną żołnierza, wierzącego w swój sztandar.

— Markizie, my zawsze zwyciężać będziemy pod tym znakiem.

KONIEC.